

# H.C.Andersen

## Bajki i opowiadania



**\* A Distributed Proofreaders Canada eBook \***

This ebook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the ebook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the ebook. If either of these conditions applies, please check with an FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. **If the book is under copyright in your country, do not download or redistribute this file.**

*Title:* Bajki i Opowiadania

*Date of first publication:* 1898

*Author:* Hans Christian Andersen (1805-1875)

*Date first posted:* August 28, 2013

*Date last updated:* August 28, 2013

Distributed Proofreaders Canada eBook #20130839

This ebook was produced by: David T. Jones, Michal Jablonski & the online Distributed Proofreaders Canada team at <http://www.pgdpcanada.net>

(This project created from scans generously provided by the Polona National Digital Library at <http://www.polona.pl/dlibra>)

**UWAGI DO WYDANIA ELEKTRONICZNEGO**

W tekście zachowano oryginalną ortografię i interpunkcję, nawet w przypadkach, gdy różniły się one od współcześnie obowiązujących. Poprawiono jednak kilka błędów, które wyglądały na omyłki drukarskie. Dodano również prostą „okładkę” z racji niezachowania się oryginalnej.

# **BAJKI i OPOWIADANIA**

**przez**

**H. K. Andersena.**

**Tłómaczyli**

**N. Z. i T.**

WARSZAWA.  
Nakładem Redakcyi Gazety Polskiej"  
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

—  
1898.

ANDERSEN I BAJKI.  
KALOSZE SZCZĘŚCIA.  
ANIOL.  
SUKNIE CESARSKIE.  
SYRENA.  
CIEŃ.  
PASTUCH.  
NIETRZECZNY CHŁOPIEC.  
ŚWINIA SPIŻOWA.  
KSIĘŻNICZKA NA GROCHU.

## Andersen i bajki.

Czy zbiór bajek, nawet bardzo dobrych, można uważać za książkę równą, pod względem wartości, romansowi historycznemu, albo społeczno-psychologicznemu?

Czy można ludziom dorosłym i poważnym dawać do czytania rzeczy, które zachwycają się dzieci?

Bezwątpienia.

Wśród utworów, które zaliczono słusznie do skarbcza arcydzieł literatury powszechnej niebrak baśni i bajek. Połowa Odyssei i trzy czwarte Mahabharaty — to piękna baśń fantastyczna.

A bajki „1001 nocy”? Czy jest choć jeden cywilizowany język, na jaki by ich nie tłómaczono? Czy istnieje średnio wykształcony człowiek, któryby nie znał dziejów „Ali Baby i 40 rozbójników,” oraz „Cudownej lampy Aladyna”?

Najzwyklejsza rozmowa salonowa, najpospolitszy artykuł dziennikarski nie obejdzie się bez aluzji do tych dziwów, które nam utkwily w pamięci z czasów dzieciństwa.

A jeżeli w wieku dojrzałym przestajemy czytać bajki, to robimy źle, bo — pomijając nawet, widoczne tylko dla specjalistów, a ciekawe ślady i szczątki prastarych wierzeń — odnaleźlibyśmy w tych utworach niejedną myśl głęboką, wypowiedzianą w sposób symboliczno-obrazowy i odsłaniającą szerokie horyzonty duchowe.

Czyż dzieje Aladyna nie są prawdziwą, pomimo swej krańcowej fantastyczności, historią rozwoju psychicznego człowieka, którego natura obdarzyła wielkim darem — a który nie wie, co z nim począć, zaniedbuje go, nadużywa, wreszcie po wielu przejściach, smutkach i walkach zaczyna rozumieć, jaki posiada skarb i do czego przy jego pomocy dojść może?

Podstawmy zamiast „lampy cudownej”, talent, geniusz, energię, władzę, piękność, dobroć i t. p., a będziemy mieli obraz ewolucji psychologicznej, artysty, bohatera, proroka, monarchy etc.

Będzie to obraz syntetyczny, nie analityczny, da nam więc tylko główne, zasadnicze, idealne linie, nie drobne, realne rysy odtworzonego procesu — ale i to jest potrzebne przecie.

Dobrze jest czasem spojrzeć na życie z takiego punktu, który pozwala ogarnąć całość, choćby kosztem pominięcia szczegółów.

Dziedzinami, na których gruncie można się takimi doświadczeniami zajmować jest poezja i filozofia, a każda prawie baśń to poemat filozoficzny, lub upoetyzowana filozofia.

Dziecko chwyta tylko poezję, człowiek dojrzały dostrzeże z łatwością myśl filozoficzną, ukrytą pod dziwaczną, wzorzystą i jaskrawą szatą fantazyi.

Weźmy np. Andersenowską bajkę o „Cieniu” który, przybrawszy pozory człowieka, zmusza bezczelnie swego prawego właściciela do roli cienia, a w końcu morduje go, by uratować swoje sztuczne „człowieczeństwo” od hańby i śmieszności.

Iluż to cieniów — dorobkiewiczów postępuje w życiu tak samo ze swymi dobrodziejami, mistrzami, opiekunami? Gdyby autor opowiedział jeden z podobnych wypadków w sposób realistyczny, powstała by z tego może zwykła nowelleta, z chwilą jednak przeniesienia sytuacji w sferę fantastyczną, opowieść nabrała szerszego i głębszego znaczenia. To już nie dany pojedynczy wypadek, lecz allegorya wszystkich analogicznych konfliktów życiowo-społecznych.

Allegorya ta jednak tem się różni od innych allegoryi, że nie jest suchem, zimnem

uobrazowaniem myśli autora, lecz żywym, zajmującym i wzruszającym poematem prozą.

Ów „cień,” jest nietylko symbolem wszystkich plagiatorów, pragnących zamordować swoje pierwowzory, lecz istotą najzupełniej prawdopodobną, chociaż nieprawdziwą: Autor nadał cieniowi ludzkie pozory życia.

To właśnie stanowi charakterystyczną właściwość talentu Andersena, że w jego bajkach wszystko żyje: meble, naczynia kuchenne, zabawki, drzewa i t. p. Żołnierz ołowiany np., nie przestając być ani na chwilę zabawką dziecinną, myśli, rozumuje, i postępuje tak, jak by naprawdę postępował żołnierz ołowiany, gdyby miał duszę i serce.

Owo połączenie głębokiej treści fantastyczno-symbolicznej z ruchem, ciepłem i plastyką życia nadaje baśniom Andersena specjalny wdzięk i charakter. Dzięki temu właśnie stały się one tak popularnymi w całym świecie i mają wielbicieli, zarówno wśród dzieci, jak i wśród dorosłych.

Niniejszy zbiorek niezawiera wszystkich bajek duńskiego pisarza, lecz wybór najpiękniejszych.

Każda z nich nietylko zajmie, ale i pobudzi do myślenia, w każdej bowiem jest jakaś myśl głębsza, wyrażona już to w poważnej, już to w humorystycznej formie.

W „Księżniczce na ziarnku grochu”, „Pastuchu świń”, w „Nowych Szatach” ośmiesza poeta w sposób niesłychanie dowcipny przesady i głupotę ludzką, w „Słowiku” pisze hymn na cześć szczerzej poezji, w przeciwstawieniu do jej fałszywych i sztucznych parodi dworskich. W „Kaloszach szczęścia” zastanawia się nad paradoksalnością pragnień ludzkich.

W „Syrenie” daje nam prześliczny obraz szlachetnej i bezinteresownej miłości kobiecej i t. d. i t. d. i t. d.

A każde z opowiadań, niezależnie od treści, jest tak zajmujące, dowcipne i pięknie napisane, że przemawia nietylko do inteligencji, ale i do wyobraźni.

Bajkom też jedynie zawdzięcza Andersen swoją nieśmiertelność: wszystko co napisał pozatem — a napisał niemało — przepadło w falach zapomnienia, bajki zaś zostały i zostaną dopóty, dopóki nie zabraknie na świecie dzieci, oraz ludzi wrażliwych na prawdziwe piękno.

Ur. r. 1805 w Odensee na wyspie Filonii, jako syn szewca, udał się po śmierci ojca do Kopenhagi, gdzie uczęszczał do t. zw. „łacińskiej” szkoły. Bardzo wczesnie zaczął drukować wiersze i pisać wodewile, które cieszyły się powodzeniem; zebrawszy nieco grosza udał się w podróż po Europie. Następnie wydał romans „Improwizator,” na tle stosunków włoskich (1834). W 1840 wyjechał na Wschód i opisał swoją podróż w „Bazarze poety” (1842); potem wydał Ahasverusa (dramat) „Dwie Baronowe” (romans 1840), „W Szwecyi” (1851), „Być albo nie być” (1857) i t. p. i t. p. „Bajki” wydał w dwóch seryach (1843 i 1858-1862), zbiorowe wydanie dzieł wyszło w 23 tomach (1858-1862).

Na polski tłómaczono dotychczas „Improwizatora” (H. Feldmanowski, Poznań 1857).

„Tylko grajek” (H. Lewestam, 1858), całego zbioru bajek nie tłómaczono dotąd wcale, wyjątki wyszły w przekładzie M. Chr., w przeróbce Lewestama i w bezimiennym tłómaczeniu w Warszawie (1893).

*Ignacy Matuszewski.*

# Kalosze szczęścia.

---

## 1. Początek.

W jednym z domów przy ulicy Wschodniej w Kopenhadze, w pobliżu Królewskiego rynku, zawiązało się raz jedno z tych stowarzyszeń, mających na celu utrzymanie tylko wzajemnych stosunków i przyjacielskich zebrań.

Otóż, pewnego razu, połowa owego towarzystwa siedziała przy stolikach do grania, druga zaś oczekiwała, jaki skutek wywoła następujący wniosek gospodyni domu:

— A teraz proszę o projekt, jak spędzimy dzisiejszy wieczór.

Od tego rozpoczęto i wkrótce zawrzała ożywiona rozmowa.

Pomiędzy innemi przyszła kolej i na średnie wieki. Niektórzy wyrażali zdanie, że podówczas działo się na świecie o wiele lepiej, jak dzisiaj — a radca prawny Knap, popierał to mniemanie tak gorliwie, że i gospodyni domu poszła wkrótce za jego przykładem i wtedy oboje poczęli gwałtownie napadać na artykuł Oersteda, zamieszczony w jednym z pism, traktującym o starych i nowych czasach a oddający w każdym względzie zupełne pierwszeństwo chwili terażniejszej.

Pan radca prawny uważał czasy króla Jana, za najpiękniejsze i najszczęśliwsze.

Podczas tej rozmowy, tylko na krótko przerwanej nadejściem gazet, które wszakże również nic bardziej ciekawego nie dostarczyły — pozwólmy sobie rozejrzeć się w przedpokoju, gdzie zebrały się rozmaite palta, laski, parasole i kalosze gości.

Siedziały tutaj dwie dziewczyny, młodsza i starsza; zdawałoby się na razie, że przybyły one tutaj jedynie w celu przeprowadzenia kogoś ze swoich państwa, młodej panienki, lub starej wdowy. Po dokładniejszym wszakże przyjrzeniu się, można było zauważyć, że nie były to zwykłe służące, miały bowiem ręce zbyt delikatne, postawy i poruszenia niemal królewskie i suknie o zbyt niezwykłym kroju.

Były to w rzeczywistości dwie wróżki. Młodsza nie była wprawdzie samą boginią szczęścia, lecz podręczną jednej z jej dam dworu, rozdzielającą tylko najnieznaczniejsze dary szczęścia, starsza wyglądała niezmiernie poważnie. Była to Żałoba, załatwiająca zawsze osobiście wszystkie swoje interesy, wtedy bowiem wiedziała, że są wykonane jak należy.

Opowiadały sobie, gdzie spędziły dzisiejszy dzień. Ta, która była podręczną damy dworu u bogini szczęścia, wykonała zaledwie kilka nieznanych zadań — oświadczyła, że uratowała tylko jakiś nowy kapelusz przed deszczem, że przyniosła jakiemuś poczciwcowi pozdrowienie od znakomitego zera i kilka innych temu podobnych — to zaś, co jej jeszcze pozostało do spełnienia, było rzeczywiście czemś bardzo niezwykłym.

— Przedewszystkiem muszę ci opowiedzieć — rzekła — że dzisiaj są moje urodziny. Z tego tytułu powierzono mi parę kaloszy, które mam ludziom zaofiarować. Kalosze te mają taką własność, że każdy, kto je wdziewa, przenosi się natychmiastowo na takie miejsca, lub w te czasy, które uważa dla siebie za najmilsze. Najmniejsze życzenie w kierunku miejscowości i czasu spełnia się bez zwłoki, dając człowiekowi w ten sposób możność kilku chwil szczęścia.

— I ty w to wierzysz — rzekła Żałoba — ja nie, i ręczę ci, że każdy z tych szczęśliwców pobłogosławi chwilę, w której się uwolni od twoich kaloszy.

— Co za myśl — odparła tamta — stawiam je właśnie tutaj przed drzwiami, a ten, który je

wdzieje, będzie szczęśliwym.

---

## 2. Co się zdarzyło radcy prawnemu?

Było już późno. Radca apelacyjny Knap tak się zagłębił w historii króla Jana, że przez roztargnienie, wybierając się do domu, zamiast swoich, włożył kalosze szczęścia i w nich wyszedł na ulicę Wschodnią, ale moc cudotwórcza kaloszy sprawiła, że został przeniesiony w czasy króla Jana, tak, że idąc ulicą, brnąć musiał w błocie i szlamie, gdyż za owych czasów jeszcze bruku nie było.

— To już prawdziwie nie do zniesienia, jak tu jest brudno — powiedział radca. — Cały chodnik jakgdyby zniknął i wszystkie latarnie pogasty!

Księżyc jeszcze nie wszedł i lekka mgła rozścielała się w powietrzu, tak, że panująca ciemność mało co pozwalała rozróżniać. Na najbliższym rogu wisiała latarnia przed obrazem świętej Dziewicy, ale oświetlenie to było tak dobre, jak żadne, bo dopiero je spostrzegł, gdy się przed nim zatrzymał i oczy jego zdziwione padły na obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

— Tu mieści się zapewne gabinet sztuk, — pomyślał, musieli tylko zapomnieć zdjąć szyld!

Para ludzi w strojach ówczesnego stulecia, przeszła obok niego.

— Jak oni wyglądają, muszą chyba wracać z maskowego balu!

Wtem dało się słyszeć uderzenie w bęben i świst gwizdawki, światło pochodni zbliżało się powoli. Radca przystanął, i zobaczył przed sobą osobliwszy pochód. Na przodzie maszerowali ludzie uderzający w bębny, za nimi postępowali trabanci z łukami i halabardami, a na czele tego pochodu szedł wysoki duchowny. Zdziwiony radca zapytał cobyto miało znaczyć i kim był ten człowiek?

— To jest biskup z Seeland — odpowiedziano mu.

— Święty Boże, cóżby to biskupowi przyszło do głowy — dziwił się radca i wzruszył ramionami. — Przecież to jest chyba niemożliwym, żeby to miał być biskup.

W głębokiej zadumie nad tem wszystkim szedł, nie patrząc już ani na prawo, ani na lewo, przez Wschodnią ulicę do placu Wysokiego mostu. Mostu jednakże, który prowadził do Zamkowego placu nie znalazł. W słabych zarysach okazał mu się tylko płaski brzeg, a przystąpiwszy bliżej spotkał dwóch ludzi, siedzących w łodzi.

— Czy pan sobie życzy, żebyśmy go do Holc przewieźli — zapytali.

— Do Holc? — odpowiedział radca, nie wiedzący, w którym stuleciu odbywa wieczorną przechadzkę — chcę się dostać do zatoki Chrystyana, do małej uliczki Torfowej.

Ludzie spojrzeli na niego zdziwieni.

— Powiedźcie mi przynajmniej, gdzie most, — zaczął na nowo. — To jest doprawdy ohydne, żeby się latarnie nie paliły i żeby człowiek musiał brnąć w błocie i szlamie, jak w jakim bagnie. Im dłużej jednakże rozmawiał z przewoźnikami, tem dziwniejszemi wydawali mu się.

— Nie rozumiem waszego bozuholmskiego akcentu — wyrzekł wreszcie kwaśno i odwrócił się do nich plecami. Mostu nie mógł nigdzie znaleźć, brzegu także nie było widać.

— Otóż, to doprawdy grzech i hańba jak tu wszystko wygląda, — powiedział. Nigdy mu bieżące stulecie nie wydawało się tak godnem pożalowania, jak tego wieczoru.



— Najlepiej uczynię biorąc dorożkę, — pomyślał — chodzi tylko o to, gdzie one stoją, gdyż nie widzę żadnej. Muszę się zdecydować wrócić do Królewskiego zamku, może tam znajdę jaką, gdyż inaczej nie dostanę się chyba do zatoki Chrystyana!

Zawrócił więc znowu na ulicę Wschodnią i przeszedł ją prawie całą, gdy księżyc wyrzął.

— Mój Boże, cóż to za osobliwsze rusztowanie, które się tam wznosi! — zawołał na widok wschodniej bramy, która stała za onych czasów na placu przy końcu ulicy Wschodniej.

W końcu odkrył otwartą furtkę i wydostał się przez nią na dzisiejszy nowy rynek, który podówczas był dużą łąką. Pojedyncze krzaki rosły gdziegdzie, a w poprzek łąki płynął szeroki kanał czy też strumień. Kilka nędznych drewnianych chat, przeznaczonych dla holenderskich żeglarzy, od których to miejsce „holenderską doliną” nazywało się, stało na przeciwległym brzegu.

— Albo widzę prawdziwą fata morganą, jak to nazywają, lub też jestem pijany! — biadał radca. — Co to jest? co to jest?

Zawrócił znowu, w tem przekonaniu, że jest chory. Gdy przechodził ulicą napowrót, spostrzegł nędzne domki, z których wiele było z gruzu i krytych słomianym dachem.

— Nie, stanowczo dzieje się ze mną coś niezwykłego — westchnął — wypilem wprawdzie jedną szklankę ponczu, ale nie mogę go znieść. Także też trzeba ruszyć konceptem, żeby podawać poncz i gorącego łososia.

— Powiem to naszej gospodyni. A gdybym tak powrócił i opowiedział, jak się czuję? ale to bądź co bądź niesmacznie wyglądałoby, zresztą kto wie, czy są jeszcze na górze.

Obejrzał się pomimo to jeszcze raz za swoim domem, nie mógł go jednak nigdzie spostrzedz.

— To jest okropne. Nie mogę rozpoznać ulicy Wschodniej, nie widzę żadnego sklepu, same stare, nędzne, drewniane chatki, zupełnie jakbym był na wsi!

— Jestem chory, stanowczo nie mam chwili do stracenia, ale gdzież jest do licha mój dom? Bo przecież to nie jest ten sam! Wewnątrz musi jednakże jeszcze ktoś czuwać. Ach jestem istotnie chory!

W końcu natrafił na przymknięte drzwi, z których przez szparę dobywało się światło. Była to ówczesna oberża, w rodzaju restauracji.

Pokój wyglądał na zwykłą izbę. Sporo ludzi, należących widocznie do lepszej klasy, żeglarzy, kopenhaskich obywateli, a nawet kilku uczonych, siedziało przy dzbanach, gawędząc z ożywieniem i mało uwagi zwracając na przybyłego.

— Proszę mi przebaczyć — rzekł do gospodyni, która wyszła naprzeciw niego — zrobiło mi się nagle niedobrze, czy nie byłaby pani tak dobrą kazać sprowadzić dorożkę, żebym się mógł dostać do zatoki Chrystyana?

Kobieta zmierzyła go oczami od stóp do głów i wzruszyła ramionami, następnie zagadała do niego po niemiecku. Wtedy radca spostrzegł, że ona nie rozumie po duńsku i powtórzył swoje życzenie po niemiecku.

To, jako też jego ubranie dało do myślenia gospodyni, że ma do czynienia z cudzoziemcem. Że się czuje niedobrze, to spostrzegła odrazu i przyniosła mu w tej chwili dzban wody, która miała smak właściwy wodzie morskiej, chociaż była przyniesiona wprost ze studni.

Radca oparł głowę na rękę, westchnął głęboko i pogrążył się w zadumie nad niezwykłością sytuacji, w jakiej się znajdował.

— Czy to są dzisiejsze czasopisma? — zagadnął, żeby coś przecie powiedzieć, widząc gospodynię rozkładającą duży kawał papieru.

Ta nie zrozumiała o co mu właściwie chodzi, podała jednakże żądany arkusz. Był to drzeworyt, wyobrażający powietrzne zjawisko, które się okazało w Kolonii.

— Jest to ogromnie stare — powiedział radca, odzyskując dobry humor, z powodu wypadku, który pozwolił mu odkryć tak stary egzemplarz. W jaki sposób dostaliście ten rzadki arkusz? Niezmiernie jest ciekawem, chociaż to jest tylko bajką. W dzisiejszych czasach przypisują podobne powietrzne zjawiska światłu podbiegunowemu, które obserwowano, zapewne powstają one wskutek elektryczności.

Ci, którzy najbliżej siedzieli i słyszeli co mówił, spoglądali na niego zdziwieni, a jeden z nich podniósł się, zdjął z uszanowaniem kapelusz i powiedział z najpoważniejszą miną:

— Pan jest zapewne ogromnie uczonym mężem!

— O nie — odrzekł radca — mogę tylko o tem i owem rozmawiać, co przecież każdy musi rozumieć!

— Skromność jest piękną cnotą! — powiedział człowiek, — jeżeli jednak mam sądzić pana z jego mowy, to pozwoli pan, iż się nie zgodzimy na tym punkcie, chociaż to nie znaczy bynajmniej, żebym miał narzucać panu moje zdanie.

— Czy mogę ze swej strony zapytać, z kim mam przyjemność mówić? — zapytał radca.

— Jestem baccalaureusem świętego pisma — odpowiedział człowiek.

Ta odpowiedź najzupełniej wystarczała radcy, tytuł i ubiór wyśmienicie odpowiadały jedno drugiemu.

— Jest to zapewne — pomyślał — stary nauczyciel wiejski, specjalna kasta ludzi, którą już tylko tu i w Jutlandyi można spotkać!

— Chociaż tu nie miejsce do obgadywania uczonych kwestyi; jednakże proszę, czy nie byłby pan łaskaw poświęcić mi parę słów w tym względzie. Pan jest zapewne dobrze obznajmiony ze starożytnością.

— Bynajmniej — odpowiedział radca — czytuję wprawdzie chętnie starożytne, pożyteczne pisma, ale jestem także przyjacielem nowości, tylko nie powieści współczesnych, których mamy i tak dosyć w rzeczywistości.

— Powieści współczesne? — zapytał baccalaureus.

— Tak, mam na myśli od niedawna pojawiające się nowe romanse.

— O! — zaśmiał się człowiek — pan wykazuje bardzo podniosły umysł, z pewnością pańskie utwory czytanoby chętnie nawet na dworze królewskim. Szczególnie podoba się królowi romans panów Treuta i Gaudiana, który opowiada o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu. Sam nawet żartował na ten temat ze swymi dostojnikami.

— Tak? tego nie czytałem — powiedział radca — musi to być zupełnie nowy utwór, który wydał Heiberg.

— O nie — odpowiedział człowiek — tego nie wydał Heiberg, lecz Gotfryd z Ghemen.

— W takim razie on jest autorem — powiedział radca, to jest bardzo stare nazwisko, tak się nazywał pierwszy duński drukarz.

— Tak, jest to nasz pierwszy drukarz — potwierdził człowiek.

Jak dotąd szło wszystko dobrze. Wtem zaczął rozmowę jeden z pocziwych obywateli o zarazie, która panowała przed kilkoma laty, a miał na myśli rok 1484, radca sądził, że mowa była o cholery i znowu wszystko było w porządku. Wojna z korsarzami w roku 1490 zdawała się być faktem tak niedawnym, że go to uderzyło nieco. Wychodziło na to, że angielscy korsarze wzięli okręty na ich stanowisku.

Radca, który zżył się tak z wypadkami 1801 roku, głosował razem z nimi przeciwko Anglikom.

Następna rozmowa nie szła już tak gładko, jak poprzednie, co chwila wpadały jedna i druga strona w ton pouczający; pocziwy baccalaureus za mało posiadał wiedzy i najprostsze poglądy radcy wydały mu się zbyt śmiały i zbyt bezbożnymi. Mierzyli się oczami i nie mogli siebie zrozumieć w żaden sposób, tak, że baccalaureus, żeby się jaśniej wytłómaczyć, zaczął nawet po łacinie, ale i to się nie na wiele przydało.

— Jakże się pan czuje? — zapytała gospodyni, pociągając radcę za rękaw.

Teraz dopiero spostrzegł, że w zapale rozmowy zapomniał zupełnie o tem, co się stało.

— Święty Boże, gdzie jestem — powiedział, czując, że mu się w głowie mąci na samą myśl o tem.

— Klaruniu, pić nam się chce. Miodu i bremeńskiego piwa! — zawołał jeden z gości — a i pan musisz się napić razem z nami.

Dwie dziewczyny, z których jedna miała na głowie zabawny czepeczek przystąpiły, podały żądane napoje i skłoniły się.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach radcy.

— Na Boga; co to wszystko znaczy? — powiedział, ale musiał pić z nimi czy chciał, czy nie chciał.

Był zupełnie zrozpaczonym, a kiedy jeden z obecnych powiedział mu, że jest pijanym, nie wątpił nawet w prawdziwość jego słów. Gdy zaś potem zaczął prosić, żeby mu sprowadzono dorożkę, wszyscy sądzili, że mówi po rosyjsku.

Nigdy jeszcze nie był w tak szorstkiem i gburowatym towarzystwie.

— Prawdziwie, możnaby przypuścić, — myślał — że cały ten kraj wrócił do czasów pogaństwa. Jest to najstraszliwsza chwila w mojem życiu.

Wtem przyszło mu na myśl, schylić się pod stół, przyczołgać się do drzwi i wyśliznąć się w ten sposób, ale gdy już prawie przy wyjściu był, spostrzegli inni jego zamiar, chwycili go za nogi i wtedy na szczęście spadły mu kalosze, a z nimi całe zaczarowanie.

Radca ujrzał zupełnie wyraźnie płonące przed sobą latarnie, a za niemi wspinały się miejskie zabudowania, poznał to również jak i sąsiednie domy, była to ulica Wschodnia, taka, jaka jest dzisiaj, a on leżał z nogami zwróconemi ku drzwiom domu, wprost niego zaś, siedział śpiący stróż.

— O ty, mój Stwórco! czyżbym był leżał na ulicy i śnił — zawołał — tak, to jest ulica Wschodnia, jak wspaniale oświetlona i ożywiona! Jednakże to okropne, jak ta szklanka ponczu podziałała na mnie.

W dwie minuty później siedział w dorożce, która go wiozła do zatoki Chrystyana, myślał o przebytych wypadkach i swojej trwodze i sławił z całego serca szczęśliwą terażniejszość, która ze wszystkimi swemi brakami, była jednakże o wiele lepszą od miejsca gdzie był przed chwilą. Było to bardzo rozsądnie ze strony pana radcy.

---

### 3. Przygoda stróża.

— Tam do licha, ależ tu leżą jakieś kalosze! — zawołał stróż. — Zapewne należą one do pana porucznika, mieszkającego na górze. Leżały właśnie obok drzwi wchodowych.

Z chęcią byłby poczciwy człowiek pociągnął za dzwonek i doręczył mu je, gdyż widział jeszcze światło u niego, nie chcąc wszakże budzić innych mieszkańców domu, zaniechał tej myśli.

„Musi to jednak być ciepło i przyjemnie, mając na nogach parę takich rzeczy. Co za miękkość skóry i rzeczywiście leżą na mnie jak ulał. Jakżeż to głupio bywa na tym świecie. Ten tam na górze mógłby już dawno położyć się do ciepłego łóżka. Ale czy on to zrobi? Otóż nie, łązi i łązi po swoim pokoju. Co to jednak za szczęśliwy człowiek — nie ma ani żony, ani krzyczących bachorów! Co wieczór bywa w towarzystwie. Ach! gdybym to ja był na jego miejscu, czułbym się zupełnie szczęśliwym.”

Zaledwie wypowiedział to życzenie, kiedy kalosze, które właśnie przywdział, poczęły działać. Stróż wszedł natychmiast w rolę i sposób myślenia porucznika. Stał więc na górze w jego pokoju, trzymając w palcach mały, różowy arkusik papieru, zapisany wierszami. Były to poezye pana porucznika.

Któryż to z nas nie był kiedyś w życiu poetycznie usposobionym, a kiedy przyszło czasem natchnienie skreślenia swoich myśli, to nie obeszło się nigdy bez wierszy.

Na papierze wypisane były następujące słowa:

O, gdybym był bogatym!  
Gdybym był bogatym, — błagałem często  
Modłać się gorąco, jako chłopię małe.  
Gdybym był bogatym, byłbym oficerem  
Nosiłbym szpadę, order — pióropusz.  
Minęły lata, jestem oficerem,  
Lecz nie mam bogactw. Bądź mi, o ojcze,  
Opiekunem i doradcą!  
Hoży i wesoły, siadywałem wieczorami  
Przy boku młodej dziewczeczki.  
Słuchałem jej śpiewu i bajek  
A jej pocałunki były dla mnie wszystkim.  
Nie słyszałem wprawdzie dźwięku złota,  
Lecz dziecięca dusza tęskniła tylko do bajek  
I byłem szczęśliwym i bogatym —  
Ty wiesz o tem, o ojcze,

Ty, mój doradco!  
Gdybym był bogatym! błagałem potem goręcej,  
Kiedy owa dziewczeczka wyrosła na dziewicę.  
Jest tak dobrą, piękną i czystą,  
A jej oczy świetliste zdają się mówić:  
"Jestem Twoją" — Lecz jestem ubogim  
Więc milcz serce biedne.  
I cóż pocznę teraz, o ojcze,  
Ty, mój doradco!  
Gdybym był bogatym — chociaż w pociechę i spokój serca!  
O ulgo! zwróć ku mnie swe oczy!

A ty, o ukochana, czy znasz serce moje?  
Przeczytaj te wiersze — lecz nie!  
Młodość nie powinna znać cierpienia  
I ty nie poznasz tajemnicy mojego serca.  
Ciemna noc rozciąga się przedemną  
Pociesz mnie, o ojczy, —  
Ty, mój doradco!

Naturalnie, podobne wiersze pisuje się, kiedy się jest zakochanym, lecz oględny człowiek nie drukuje ich nigdy. Porucznik, miłość i bieda — zabawna mieszanka. Porucznik czuł to dobrze, dlatego też wsparł głowę o ramę okna i westchnął głęboko:

"Biedny stróż nocny, chodzący tam po ulicy, jest o wiele szczęśliwszym odemnie. Nie rozumie on nawet tego, co ja nazywam brakiem. Ma uporządkowane gospodarstwo domowe, ma żonę i dzieci, które wraz z nim weselą się, lub płaczą. Gdybym był na jego miejscu, byłbym o wiele szczęśliwszym, gdyż on jest szczęśliwszym odemnie."

Mówiąc to — stróż stał się znów stróżem — za sprawą kaloszy szczęścia zamienił się w porucznika, jak to wszakże widzieliśmy, czuł się w jego roli jeszcze mniej zadowolonym i oddał pierwszeństwo swojemu właściwemu stanowi. W ten sposób stróż, stał się znów stróżem.

— Obrzydliwy sen miałem! zawołał — lecz dość szczególny. Zdawało mi się, że byłem porucznikiem — tym z góry, nie sprawiało mi to jednak żadnej przyjemności. Brakowało mi żony i małych moich krzykaczy — nigdy niestrudzonych w oddawaniu mi uścisków.

Usadowił się na dawnym swoim miejscu i począł się kiwać; — pamięć snu nie schodziła mu z myśli. Kalosze miał jeszcze ciągle na swych nogach. Spadająca gwiazda przesunęła się z błyskiem wzdłuż nieba.

— Ot, gdzie zleciała! — rzekł patrząc za nią. Miałbym jednak ochotę przyjrzeć się nieco bliżej tym rzeczom a szczególnie księżycowi. Umierając, jak opowiada student, któremu moja żona pierze bieliznę, przelatujemy z jednej gwiazdy na drugą. Jest to wprawdzie kłamstwo, lecz zapewne byłoby to bardzo piękne. Gdybym to ja mógł dać tak małego susa tam w górę! Ciało mogłoby sobie pozostać zresztą tutaj na wschodach.

I widzicie, nigdy nie trzeba dyabła malować po ścianach lecz przeciwnie, ostrożność konieczną jest wszędzie, szczególnie gdy się ma na nogach kalosze szczęścia. Posłuchajcie tylko, co się przytrafiło stróżowi!

Co się tyczy nas, ludzi, to prawie wszyscy znamy szybkość parowych podróży. Wyprobowaliśmy ją na okrętach, na morzu, lub na kolejach. Szybkość ich jednak w porównaniu z promieniem światła jest podróżą żółwia lub chodem ślimaka. Światło przebiega daną przestrzeń 19 milionów razy szybciej, niż najściślejszy wyścigowy rumak, elektryczność zaś biegnie jeszcze szybciej. Śmierć jest uderzeniem elektrycznym, które otrzymujemy w serce; na skrzydłach elektryczności ulatuje wyswobodzona z więzów dusza. Osiem minut i kilka sekund potrzebuje światło słońca dla odbycia podróży więcej, niż 29 milionów mil — dusza zaś — za pośrednictwem elektrycznej poczty, odbywa tę drogę o kilka minut wcześniej. Przestrzeń, dzieląca ciała niebieskie, jest dla niej niewiększą, jak dla nas odległość pomiędzy przyjaciółmi, mieszkającymi w domach tego samego miasta, nawet kiedy położone są bardzo blisko siebie.

Owo elektryczne uderzenie w serce pozbawia nas tylko możliwości spożytkowania naszego ciała na ziemi, o ile nie posiadamy kaloszy szczęścia, jak w danym wypadku ów stróż, o którym mówimy.

W ciągu kilku sekund stróż przebył drogę 52,000 mil dzielących nas od księżycy, który, jak wiadomo, składa się z materiałów lżejszych, niż ziemia, i miękkich, jak świeżo spadły śnieg.

Znalazł się on na jednym z licznych łańcuchów górskich, znanych nam z dużej mapy księżycy d-ra. Mädlera. Wszak znacie je? Pierścień górski spadał stromo ku środkowi i tworzył w ten sposób rodzaj, na kilka mil szerokiego, kotła. W pośrodku jego leżało miasto o szczególnym wyglądzie. Przypomnijcie sobie szklankę wody, w której rozbija się białko. Otóż równie miękkim było owo miasto i ukazywały się w niem podobne obrazy, z jakimiś wieżami, kopolami i altanami — wszystkie przezroczyste i unoszące się w rzędziętym powietrzu. Nasza ziemia błyszczała nad jego głową, jako duża, płomienna kula.

Ujrzał tam wiele stworzeń, zapewne takich, które nazywamy ludźmi, miały one jednak wygląd zupełnie różny od naszego. Posiadały one swoją mowę a chociaż nikt nie może wymagać, aby dusza stróża ją rozumiała pomimo tego było tak rzeczywiście.

Dusza stróża rozumiała wybornie mowę mieszkańców księżycy. Zabawiali się oni rozmowami o naszej ziemi, powątpiewali wszakże, aby mogła być zamieszkałą. Podług ich zdania, powietrze musiało być tam zbyt gęstem, ażeby porządny mieszkaniec księżycy mógł w niem żyć. Jeden tylko księżyc, jak uważali, mógł służyć za miejsce zamieszkania dla żywych istot; było to owo ciało niebieskie, gdzie mieszkali pierwsi obywatele świata.

Nie zapominajmy jednak o ulicy Wschodniej i powróćmy zobaczyć, co się stało z ciałem stróża.

Leżało martwe na wschodach, długi kij wypadł mu z ręki a oczy spoglądały ku księżycowi, gdzie właśnie przebywała pocziwa dusza stróża.

— Hej, stróżu — a która to godzina? zapytał ktoś z przechodzących. Stróż jednak nie odpowiadał.

Przechodzeń, nie wiele myśląc, uchwycił go rubasznie za nos i pociągnął — lecz zarazem wdało się w sprawę i prawo równowagi. Ciało upadło i rozciągnęło się jak długie; stróż był nieżywy. Wtedy figlarza zdjął strach. Stróż był rzeczywiście nieżywy i pozostał nim. Doniesiono o tem, komu należy, omawiano przypadek, a nazajutrz wyniesiono ciało do szpitala.

Byłby to rzeczywiście śliczny figiel dla duszy, gdyby tak teraz wróciła i nie znalazła ciała, którego naturalnie poszukiwałaby na ulicy Wschodniej. Zapewne wypadłoby jej pobiedz do urzędu policyjnego i zapytać w oddziale dla zgubionych przedmiotów a ztamtąd dopiero udać się do szpitala. Pocieszmy się jednak myślą, że dusza jest dość mądra, szczególnie, kiedy zaczyna działać na własną rękę; jej głupota wywoływana bywa tylko przez ciało.

Jak się rzekło, ciało stróża dostało się do szpitala. Wniesiono je do sali sekcyjnej, gdzie pierwszym czynem było naturalnie zdjęcie kaloszy. Wtedy dusza musiała powrócić. Skierowała się ona prosto ku ciału i natychmiast życie wstąpiło w człowieka. Zaręczał on, że to była najstraszniejsza noc w jego życiu, i nawet za grube pieniądze nie chciałby doznać więcej wrażeń podobnych. Wszystko więc przebyło się jakoś szczęśliwie.

Tego samego dnia jeszcze opuścił szpital, pozostawiając tam swoje kalosze.

---

#### 4. Główny moment.

*Część nadająca się do sprawozdania.  
Niezwyczajna podróż.*

Każdy mieszkaniec Kopenhagi wie, jak wygląda wejście do szpitala Fryderyka, ponieważ jednak ta historia zapewne i przez innych będzie czytana, możemy więc dać krótki jego opis. Otóż szpital jest oddzielony od ulicy dość wysokimi sztachetami, w których grube sztaby żelazne są na tyle jedna od drugiej oddalone, że wielu szczupłych mieszkańców zakładu, co

naturalnie było tajemnicą, mogło się tamtędy prześlizgiwać i składać po za obrębem jego różne małe wizytki. Częścią ciała, najtrudniejszą do przesunięcia, była głowa. W tym więc wypadku, małe głowy, jak to często bywa na świecie, były najszcześniejsze.

Jak na wstęp będzie to wystarczające.

Jeden z młodych urzędników, o którym tylko w fizycznym znaczeniu można powiedzieć, że miał dużą głowę, musiał tego właśnie wieczora objąć nadzór. Deszcz lał strumieniami, nie bacząc jednak na te przeszkody, — musiał wyjść — na kwadransik. Uważał za zbyt cenne zwierzać się z tem furtyanowi, skoro przecież można było wydostać się przez sztachety.

Leżały tam właśnie kalosze, zapomniane przez stróża. Nie podejrzewał naturalnie, że to były kalosze szczęścia; podczas takiej słoty mogły mu oddać znakomite usługi. Włożył je więc. Należało teraz spróbować, czy się będzie można przedostać, dotychczas bowiem nie posługiwał się tą drogą.

Stanął przed sztachetami.

— Daj Boże, abym mógł głowę przełożyć — rzekł i natychmiast, naturalnie za sprawą kaloszy, projekt lekko i szczęśliwie został wykonany. Teraz wszakże musiał i korpus podążyć za głową — lecz w tym względzie zaszła pewna trudność.

— Jestem za gruby, pomyślał. — Sądziłem, że z głową pójdzie najgorzej! Nie przejdę! Chciał więc głowę szybko wycofać; lecz nie udało się. Szyją mógł swobodnie poruszać, ale na tem kończyła się pociecha. Pierwszem wrażeniem była złość; następnie wszakże humor jego spadł niżej zera. Kalosze szczęścia były sprawcą tego strasznego położenia, a na nieszczęście nie przyszło mu na myśl wyrazić życzenia wydobycia się z matni. Szarpał się więc bezsilnie, bez nadziei wyswobodzenia się z niezwykłego więzienia. Deszcz tymczasem lał, jak z cebra. Na ulicach nie widać było żywej duszy, do dzwonka wiszącego u drzwi było za daleko, cóż więc miał począć, przeczuwał, że może tak pozostać do rana, wtedy trzebaby było sprowadzać dopiero kowala dla przepiłowania sztab. Naturalnie, nie dałoby się to tak szybko uskutecznić i wszystkie bachory ze szkoły z przeciwka, cały personel zakładu, wszystko to wyległoby zapewne, ażeby go zobaczyć pod pręgierzem.

Wytworzyłyby się olbrzymie zbiegowisko.

— Krew mi uderza do głowy, tak, że chyba zwaryuję. Zwaryuję napewno! Och! gdybym mógł uwolnić się, to możeby przeszło.

Powinien był wcześniej to powiedzieć — natychmiast bowiem po wypowiedzeniu tej myśli uczuł, że miał głowę wyswobodzoną. Cofnął się więc z pośpiechem, cały oszołomiony strachem, jakiego mu napędziły kalosze szczęścia.

Nie myślcie jednak, że zle skończyło się na tem. Stało się potem o wiele gorzej.

Upłynęła noc, a za nią i dzień następny. O kalosze nikt nie zapytał. Wieczorem odbywało się przedstawienie w pewnym amatorskim teatrze. Wszystkie miejsca były zajęte. Pomiędzy wystawianemi utworami znajdował się także poemat zatytułowany „Okulary cioci”.

Kiedy się przez nie patrzyło, ludzie wydawali się patrzącemu kartkami książki, z której można było wróżyć wypadki nadchodzącego roku.

Poemat wybornie był wypowiedziany i deklamator zebrał sute oklaski. Pomiędzy widzami znajdował się także nasz młody urzędnik ze szpitala, który, jak się zdawało, zapomniał zupełnie o swojej wczorajszej, nocnej przygodzie. Kalosze miał na nogach ponieważ ich nikt nie zabrał a na ulicach było ogromne błoto. Utwór podobał mu się bardzo. Miał głowę żywo zaprzątniętą zagadnieniem, jakie też korzyści przedstawiało posiadanie takich okularów. A może można było, używszy ich jak należy, wglądać w serca ludzi. Ta okoliczność wydała mu się o wiele więcej interesującą, niż wróżby na przyszły rok, o tem bowiem można się było dowiedzieć

w następstwie, gdy tamto pozostawało zawsze zagadką.

— Wyobrażam sobie naprzykład cały rząd panów i pań w pierwszej ławce. Gdyby się chciało spojrzeć w ich piersi, znalazłoby się tam zapewne coś w rodzaju sklepów! U tej panny możnaby było odkryć duży skład z artykułami mody, u tamtej jakąś pustą tylko salę, której jednak nie zaszkodziłoby pewnie oczyścić! Ciekaw jestem, czy też znalazłyby się i dobre sklepy? Ach, tak! westchnął, znam ja jeden, w którym wszystko idzie wybornie, lecz tam jest już posługacz i to jedno tylko jest złem w całym sklepie! Z tego zaś i owego usłyszałoby się wezwanie: „proszę wejść!” Naturalnie, pośpieszyłbym z ochotą, chciałbym zresztą już jako myśl tylko wnikać w ich serca.

Dla kaloszy — było to wystarczającym. Młody urzędnik skurczył się i rozpoczął niezwykłą wędrówkę po przez serca widzów pierwszego rzędu.

Pierwsze serce, do którego wstąpił, należało do pewnej damy. Na razie przypuszczał, że znajduje się w instytucie ortopedycznym, jak nazywają dom, w którym lekarze uwalniają ludzi od garbów i innych narości i czynią ich znów prostymi; sądził, że jest w pokoju, gdzie wiszą na ścianach odlewy gipsowe nienormalnych członków, różnica polegała tylko na tem, że w instytucie odejmowano je przy wstępie, tutaj zaś w sercu zabierano je dobrym ludziskom przy wyjściu i przechowywano. Były to odlewy przyjaciółek, odlewy ich cielesnych i duchowych ułomności zachowane tutaj jaknajstaranniej.

Zaraz potem przeniósł się do następnego serca, ale tam było, jak w świętym kościele. Biały gołąb niewinności unosił się nad głównym ołtarzem. Z przyjemnością upadłby tam na kolana, musiał wszakże podążyć zaraz do następnego serca. Słyszał jeszcze tony organów a sam zdawał się być nowym, lepszym człowiekiem. Czuł się niegodnym wstąpić na próg następnego, świętego miejsca, które mu się ukazało jako nędzna izba z poddasza, z chorą matką w środku, a tylko przez otwarte okno jaśniało ciepłe słońko, przepyszne róże wychylały się z drewnianej skrzynki, umieszczonej na dachu i dwa niebieskie ptaki śpiewały o dziecięcej radości, gdy chora matka błagała Boga o błogosławieństwo dla córki.

Potem na czworakach przeczołgał się przez jakiś rzeźniczy sklep, gdzie widział samo mięso i tylko mięso. Było to serce bogatego, znakomitego człowieka, którego nazwisko przechodziło przez wszystkie usta. Potem dostał się do serca jego małżonki, podobne do starego, popsutego gołębnika. Obraz męża służył tylko za koguta, wskazującego kierunek wiatru; był on w ścisłym związku z drzwiami, które się otwierały, lub zamykały zależnie od tego, którądy obracał się mąż.

Następnie wszedł do jakiegoś lustrzanego pokoju, jakie bywają w zamkach, lecz lustra powiększały tam wszystko niemożliwie. W pośrodku pokoju, na posadzce siedziało, jak Dalai-Lama, nieznaczne Ja osoby, zapatrzone w zdziwieniu we własną swoją wielkość.

Dalej — zdawało mu się, że utkwiał w wąskim igielniku, pełnym ostrych igieł.

— To jest zapewne serce starej panny, pomyślał mimowoli. Pomylił się wszakże, gdyż było to serce młodego żołnierza, odznaczonego wieloma orderami; krótko i węzłowato: człowieka dzielnego serca i podniosłego umysłu.

Zupełnie oszołomiony opuścił młody urzędnik ostatnie serce w szeregu. Nie mógł uporządkować swoich myśli, sądząc, że to tylko pobudzona siła wyobraźni urządziła mu takiego figla.

— Mocny Boże! szepnął, wzdychając, mam wszelkie dane na skończonego waryata! Swoją drogą jest tutaj niemożliwie gorąco! Krew uderza mi do głowy.

Wtedy przypomniał sobie nagle o wypadkach poprzedniego wieczora, kiedy nie mógł wydobyć głowy z pomiędzy żelaznych sztachet.



— Musiałem wtedy coś sobie nadwężyć, pomyślał. Nie należy tego zaniedbywać, ruska łaźnia zapewne zrobiłaby mi dobrze. Gdybym to już leżał tak na najwyższej desce.

I oto leżał na najwyższej desce w parowej łaźni — naturalnie w pełnym ubraniu, obuwiu i kaloszach.

Gorące krople wody spływały mu prosto na twarz.

— Hu! krzyknął i zjechał na dół, aby wziąć prysznic. Dozorca wydał również głośny okrzyk, ujrzawszy ubranego człowieka.

Młody urzędnik połapał się tymczasem na tyle, że mu podszepnął:

— Idzie tu o zakład!

Pierwszą jednak rzeczą po powrocie do domu, było przyłożenie sobie plastra z hiszpańskich much na karku i grzbiecie, ażeby wyciągnęły domniemane szaleństwo.

Nazajutrz cały grzbiet znalazł pokrwawionym.

Był to jedyny zysk, jaki mu przyniosły kalosze szczęścia.

---

## 5. Metamorfoza pisarza.

Stróż, którego zapewne pamiętacie jeszcze, myślał od czasu do czasu o kaloszach, które znalazł i przyniósł ze sobą do szpitala. W końcu zabrał je, ale ponieważ ani porucznik, ani żaden z mieszkańców ulicy nie chcieli się do nich przyznać, więc oddał je policyi.

— Wyglądają zupełnie jak moje, — powiedział jeden z panów pisarzy i, obejrzawszy znaleziony przedmiot, postawił obok swoich. — Ręczę, że nawet oko szewca nie potrafiłoby odróżnić jednych od drugich!

— Proszę pana pisarza — zawołał w tej chwili służący, który wszedł z jakimiś papierami.

Pisarz odwrócił się i zaczął rozmawiać z człowiekiem, a gdy rozmowę skończył, znowu spojrzawszy na kalosze, zapomniał zupełnie, które do niego należą, czy te, które stoją z prawej strony, czy też tamte z lewej.

— Najpewniej moje będą te, które są wilgotne — pomyślał, lecz omylił się, gdyż właśnie były to kalosze szczęścia, ale dlaczegożby i policyja nie miała się także czasem pomylić? — Wdział je więc, schował do kieszeni niektóre papiery, które miał w domu przeczytać i przepisać, inne zaś wziął pod pachę, a ponieważ to był właśnie niedzielny poranek i pogoda była prześliczna, pomyślał: — Nieźle byłoby przespacerować się do Fridrichsbergu — i puścił się w drogę.

Trudno chyba byłoby znaleźć kogoś cichszego i pilniejszego od tego młodzieńca, dlatego też życzymy mu z całego serca przyjemnej przechadzki; po długim siedzeniu, była ona dla niego prawdziwym dobrodziejstwem. Z początku szedł bezmyślnie, więc kalosze nie miały sposobności wykazać swej cudownej mocy.

Wtem w wielkiej alei, prowadzącej do zamku, spotkał jednego swego znajomego, młodego poetę, który mu oznajmił, że w najbliższym czasie zamierza udać się na letnią wycieczkę.

— A więc odjeżdżasz pan znowu! — powiedział pisarz, — jakie to szczęście być człowiekiem, wolnym można latać, gdzie się tylko zechce, nie tak jak nam, co mamy łańcuchy na nogach.

— Prawda, że jesteś pan przykutym — odparł poeta — ale do drzewa z chlebem. Nie potrzebujesz się pan troszczyć o jutro, a na starość dostaniesz pan niezawodnie zapewniającą byt emeryturę.

— Panu jest najlepiej! — powiedział pisarz. — Siedzieć i pisać wiersze musi to być jednak ogromną przyjemnością! Cały świat podziwia pana, i jest pan panem samego siebie. Spróbowałbyś pan za to posiedzieć w sądzie i rozważać nieraz śmiertelnie nudne sprawy! Poeta wzruszył ramionami, pisarz uczynił to samo, każdy został przy swoim zdaniu, poczem rozstali się.

— Dziwny to naród ci poeci! — pomyślał pisarz. — Chciałbym pomimo to znaleźć się czasem w ich skórze i samemu być poetą. Jestem jednak pewien, że nie napisałbym takiej powodzi wierszy, jak to oni czynią.

— Dzień dzisiejszy jest prawdziwym dniem wiosny dla poety, powietrze jest tak nadzwyczajnie czyste, chmury są tak piękne, czuje się zapach zieleni i mnie jest tak lekko i błogo na duszy, jak już od wielu lat nie było.

— Domyślamy się już, że pisarz stał się poetą; nie było w tem nic nadzwyczajnego, gdyż błędem byłoby mniemanie, że poeci muszą się koniecznie różnić od zwykłych śmiertelników, często bowiem pomiędzy tymi ostatnimi zdarzają się natury stokroć poetyczniejsze, aniżeli między sławnymi poetami. Różnica polega tylko na tem, że poeta posiada lepszą pamięć duchową, i umie myśli i uczucia zatrzymywać, dopóki nie skryształizują się w czyste słowo, czego inni nie potrafią.

W każdym razie przekształtowanie się przeciętnego umysłu w bardziej obdarzony jest i pozostanie zbyt trudnem przejściem, a jednak pisarz dokonał tego czynu.

— Co za przyjemny zapach! — powiedział — jak żywo przypominają mi te fiołki moją dobrą ciotkę. Byłem jeszcze wtedy małym chłopięciem. Mój Boże, jak dawno już nie myślałem o tem wszystkim. Poczciwa stara panna, mieszkała tam obok giełdy.

Dobra ciotka miała zawsze u siebie jakąś roślinkę, albo parę młodych pędów w wodzie i mogła zima być tak ostrą, jak tylko sama chciała, fiołki pachniały, podczas gdy ja przykładałem rozgrzane trojaki miedziane do szyb, urządzając w ten sposób otwory do wyglądania.

Widziało się tamtędy piękne rzeczy. W kanale spoczywały wmarznięte okręty, opuszczone przez całą załogę, a kracząca wrona była jedyną żyjącą tam istotą.

Z nastaniem jednakże pierwszych łagodnych podmuchów wiosny, rozpoczynało się nasze życie. Wśród śpiewów i wesołych okrzyków rozbijano lód, smarowano okręty smołą i odpływano do obcych krajów. — Ja pozostałem i muszę pozostać tu zawsze, muszę siedzieć w zadymionej izbie policyjnej i przyglądać się, jak inni biorą paszporty za granicę. Tak się przedstawia moja dola. Ach tak! — westchnął i nagle zająknął się.

— Mój Boże, co też to mi na myśl przychodzi! nigdy tak tego dawniej nie czułem, musi to być wpływ wiosennego powietrza! Wszystko takie smutne, a jednak tak miłe.

Pochwyił się za kieszeń, napełnioną papierami.

— Te papiery przyniosą mi inne myśli! — rzekł i przebiegł oczyma kilka pierwszych wierszy.

— Pani Sigbrith, tragedia w pięciu aktach — przeczytał.

— Cóż to znów takiego? — A jednak to moje własne pismo! — czyżbym miał napisać tragedję? — "Podstęp na wale, czyli dzień skruchy i modlitwy, krotochwila" — w jaki sposób

jednak przyszedłem do tego? Zapewne wciśnięto mi to do kieszeni, a tu znów jakiś list. Był to list od dyrektora teatru, z którego pozostały same tylko strzępki. — Hm, hm! — rzekł pisarz, opuszczając się na ławkę; nawałnica myśli przebiegała mu przez głowę, w sercu czuł niewypowiedzianą rzewność, mimowoli uszczknął kwiatek rosnący w pobliżu. Był to pospolity pierwiosnek, co badacz natury potrzebowałby wygłosić w kilku odczytach, wypowiedział on w przeciągu kilku minut; opowiedział historię swoich narodzin, o ożywiającej sile promieni słonecznych, która rozszerzała jego delikatne listki i zmuszała je do wydawania zapachu; wtedy pomyślał poeta o walkach życiowych, które także rozbudzają uczucia w naszej piersi. Powietrze i światło pobudzają pieśzotliwie roślinę do kwitnienia, ale światło jest wybrańcem w stosunku do swego współzawodnika, ku niemu chyli się roślina, a gdy ono znika, wtedy stula swoje listeczki i zasypia słodko w objęciach powietrza. Światło daje mu piękny strój — mówi kwiat — ale powietrze pozwala ci oddychać! — szepce głos poety.

Nieopodal stał chłopiec i uderzał kijem w powierzchnię błotnistej kałuży, tak, że krople spadające wody obryzgiwały sąsiednie zielone gałęzie. Wtedy pomyślał znów poeta o milionach niedostrzegalnych zwierzątek, które się znajdują w każdej kropli wyrzuconej do góry, i że wysokość ta musi się im wydawać chyba niebotyczną w stosunku do ich wielkości. Zaprzątnięty temi myślami i dumając nad zmianą, jaka w nim zaszła, zaśmiał się wkońcu. Śpię i śni mi się; przecież to jest jednak podziwienia godnym, jak błogo można śnić, chociaż się jest przekonany, że to sen tylko! Gdybym to wszystko mógł sobie jutro przypomnieć, gdy się obudzę. Zdaję się być jakoś niezwyczajnie przeistoczonym! Wszystko zaznacza się jasno i wyraźnie w mojej duszy, czuję się tak rześkim jak nigdy, a przecież jestem przekonany, że jutro będę sobie mógł tylko ciemno i mglisto moje senne widziadło przypomnieć, jak mi się to już zdarzało nieraz.

Dzieje się to tak ze wszystkim mądrym i wspaniałym, które się widzi i słyszy we śnie, jak z owem złotem podziemnych karłów: gdy się je odbiera wydaje się bogate i wspaniałe, gdy zaś spojrzy się na nie przy dziennym świetle, widzi się tylko kamienie i zwiędłe liście. — Ach — westchnął żałośnie i spojrzął na szczebiocące ptaki, które wesoło i żwawo przeskakiwały z gałęzi na gałąź. Tych los jest o wiele lepszy od mego! Latanie w powietrzu to wspaniała sztuka i szczęśliwy jest ten, komu to jest wrodzonym! Gdybym się mógł w co kiedykolwiek przemienić, to chciałbym być takim oto ślicznym skowronkiem.

W tej samej chwili rozszerzyły się poły jego surduta i rękawy na pozór skrzydeł, suknie zamieniły się w pierze, a kalosze w pazury. Spostrzegł to z wielkiem zadowoleniem i zaśmiał się w duchu. No, teraz przynajmniej mogę być przekonany, że mi się tylko śni, ale tak dziwacznej podróży nie odbywałem dotąd nigdy nawet we śnie! — Latał między zielonemi gałęziami i wyśpiewywał, ale śpiewowi jego brakło wysokiego polotu myśli, gdyż talent poetyczny opuścił go. Kalosze, jak każdy, który swoją rzecz rozumie, mogły naraz dokonać tylko jednej sztuki, życzył sobie być poetą i stał się nim, teraz chciał być znowu małą ptaszyną, ale z odziedziczeniem jej właściwości, musiały zniknąć te, które posiadał poprzednio.

— Jednak to jest wcale przyjemne — powiedział, w dzień siedzę w policyi przy najnudniejszych jakie tylko mogą być zajęciach, a w nocy śni mi się, że jako skowronek latam po Frydrychburskim parku. Zaiste możnaby o tem całą komedię napisać!

Następnie zleciał na trawę, kręcił główką na wszystkie strony i dziobał dzióbkiem chwiejącą się trawkę, która mu w stosunku do jego obecnej wielkości wydawała się tak wysoką jak palmowe gałęzie w północnej Afryce.

Wszystko to trwało zaledwie chwilę, gdy nagle ogarnęła go nieprzejrzana ciemność nocy.

W jego mniemaniu rzucono na niego jakiś ogromny przedmiot, okazało się jednak, że to była duża czapka, którą go przykrył chłopiec z sąsiedztwa. Jedną rękę wsadził pod spód i ujął pisarza za grzbiet i skrzydła, tak, że aż pisnął.

W chwili pierwszego strachu ten zawołał głośno: Ty bezwstydnny drażalu. — Jestem

urzędnikiem policją! — Ale dla chłopca brzmiały jego słowa jak pipipipi! — Uderzył tylko ptaszynę w dziób i poszedł dalej.

Wracając, spotkał się z dwoma kolegami z wyższej klasy i sprzedał im ptaka za parę groszy.

W ten sposób dostał się pisarz do Kopenhagi do pewnej rodziny, mieszkającej przy ulicy Gotskiej.

— Szczęście, że to tylko sen — powiedział pisarz — gdyż inaczej już teraz byłbym naprawdę zły! Pierwej byłem poetą, teraz znów jestem skowronkiem. Tylko przez mój poetyczny dar można sobie wytłómaczyć moje przeobrażenie się w to zwierzątko.

Jest to jednak politowania godnym, gdy się tak wpadnie do rąk młodym chłopakom. Ciekawy jestem, jak się też to skończy.

Chłopcy przynieśli go do bogato umeblowanego pokoju. Na spotkanie ich wyszła gruba, śmiejąca się pani, która wcale nie była zadowolona, że przynieśli z sobą takiego pospolitego ptaka, jak nazwała skowronka.

Na dziś pozwoliła go jednak zostawić, więc wsadzono go do pustej klatki, która stała przy oknie.

— Może się przynajmniej papuga ucieszy na jego widok! — i podsunęła go, śmiejąc się, do dużej zielonej papugi, która huśtała się na obręczy, we wspaniałej, mosiężnej klatce. Dziś są urodziny papki — powiedziała pani, żartując — więc mały polny ptaszek chce ci złożyć swe życzenia!

Papuga nie odpowiedziała ani słowa, huśtała się tylko w dalszym ciągu, wtedy zaczął głośny śpiew kanarek, którego przewieziono ostatniego lata z jego cieplej, pachnącej ojczyzny.

— Krzykaczu! — zawołała pani i zarzuciła na klatkę białą chustkę od nosa.

— Pip, pip! — westchnął — to musi być jakaś straszna śnieżycą! i z tem westchnieniem zamilkł. Pisarz, czyli jak go pani nazwała polny ptaszek został wsadzony do małej klatki, stojącej obok kanarka, nieopodal także od papugi. Jedyne słowa, która papuga umiała wymawiać i które często zabawnie wypadały, były następujące: — Pozwólcie nam teraz być ludźmi!

Zwykły zaś jej krzyk był również niezrozumiałym, jak świergotanie kanarka, tylko nie dla pisarza, który sam teraz jako ptak doskonale swoich towarzyszków rozumiał.

— Fruwałem pod zieloną palmą i kwitnącymi drzewami migdałowymi! — śpiewał kanarek. — Latałem z memi siostrami i braćmi nad wspaniałymi kwiatami, i jasnym jak zwierciadło jeziorem, w którym kołysały się na dnie rośliny. Widziałem także wiele wspaniałych papug, opowiadających długie i niezmiernie wesołe historie!

— Były to dzikie ptaki — odrzekła papuga — brakło im wykształcenia. Pozwólcie nam teraz być ludźmi!

Dlaczego się nie śmiejesz? — Jeżeli może się śmiać nasza pani i wszyscy tam zgromadzeni, to możesz i ty także. Jestto ogromną wadą, jeżeli komu braknie zmysłu wesołości.

Pozwólcie nam teraz być ludźmi!

— Czy pamiętasz jeszcze piękne dziewczęta, tańczące obok kwitnących drzew, pod rozpiętymi namiotami? — Czy pamiętasz słodkie owoce i chłodzące soki dziko rosnących ziół?

— O tak! — odpowiedziała papuga, tu jednakże jest mi o wiele lepiej! Mam wyborne jedzenie, dobrze obchodzą się ze mną, wiem, że mam dobrą głowę i nadto nie wymagam nic

więcej. Pozwólcie nam teraz być ludźmi! — Ty jesteś poetyczną duszą, jak to nazywają, ja zaś posiadam spryt i gruntowne wiadomości, tobie nie brak ducha, ale brak ci trzeźwości umysłu, wznosisz się do najwyższych głosów natury i dlatego przykrywają cię. Ze mną tak nie śmieliby postąpić, o nie, gdyż kosztowałoby to ich trochę więcej. Zmuszam ich moim dziobem do uwagi i ostrożności i w ten sposób zabezpieczam się sprytnie.

— O moja ciepła, kwitnąca ojczyzno! — śpiewał kanarek.

— Chcę opiewać twoje ciemno-zielone drzewa, twoje ciche zatoki morskie, gdzie gałęzie całują zwierciadlaną powierzchnię wody, okrzyki radosne moich lśniących braci i sióstr, w pośród pustynnych kaktusów!

— Daj już wreszcie pokój swoim żalonym skargom — odezwała się papuga. — Opowiedz lepiej co wesołego, żeby się można było trochę pośmiać! — Śmiech jest oznaką najwyższego umysłowego uzdolnienia. Powiedz sam czy pies lub koń mogą się śmiać. Stanowczo nie, płakać umieją, ale śmiać się może tylko człowiek.

— Ho, ho, ho — zaśmiała się i dodała swój dowcip:

— Pozwólcie nam teraz być ludźmi!

— Mała, siwa, swojska ptaszyno! — powiedział kanarek — więc i ty także zostałam uwięziona, zimno jest zapewne w twoich lasach, ale tam panuje wolność, leć więc, zapomniano zamknąć twojej klatki, w górze lufcik jest otwarty. Leć, leć!

Tak też uczynił pisarz, hyc! i wyskoczył z klatki.

W tej chwili skrzyknęły przymknięte drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju, a przez nie wśliznął się gibki, z zielonemi świecącymi się oczami, kot i urządził na niego polowanie. Kanarek trzepotał się w klatce, papuga biła skrzydłami i wołała:

— Pozwólcie nam teraz być ludźmi!

Pisarza ogarnął śmiertelny strach, wyleciał przez okno nad ulicę i domy; wkońcu musiał trochę wypocząć.

Sąsiedni dom wydał mu się jakgdyby znanym, okno było otwarte, wleciał do środka, i znalazł się w swoim własnym pokoju; usiadł na stole.

— Pozwólcie nam teraz być ludźmi!

Wymówił bezmyślnie słowa papugi, w tej samej chwili stał się znowu pisarzem, tylko siedział na stole.

— Boże zmiłuj się! — powiedział — w jaki sposób ja tu mogłem wyleźć i zasnąć? Jakiś niespokojny sen miałem. Głupią była ta cała historia.

---

## 6. Co kalosze zrobiły najlepszego?

Z samego rana następnego dnia, kiedy pisarz leżał jeszcze w łóżku, zapukał ktoś do jego drzwi. Był to sąsiad z tego samego piętra, student teologii.

— Pożycz mi swoich kaloszy — rzekł, wchodząc — w ogrodzie jest ogromna wilgoć, ale słońce świeci tak pysznie, że chciałbym wypalić tam sobie fajeczkę. Włożył kalosze i zeszedł do ogrodu, składającego się z jednej śliwy i jednej gruszy. Nawet tak mały ogródek, jak ten, należał w Kopenhadze do wspaniałości.

Student spacerował tam i z powrotem. Była dopiero 6 godzina — wtem od ulicy zabrzmiał głos trąbki pocztowej.

— O, jada, jada! — zawołał nareszcie głośno — jestto najlepsze, co świat może dostarczyć i to jest mojem najgorętszem życzeniem. Wtedy położyłbym kres dręczącym mię niepokojom, ale ja musiałbym pojechać daleko! Chciałbym oglądać piękną Szwajcaryę, przejechać Włochy i...

Dobrze się stało, że kalosze podziały natychmiast, inaczej bowiem byłby zaszedł za daleko, równie dla siebie, jak i dla innych. Ruszył przeto w drogę. W Szwajcaryi zapakowano go do pocztowego pudła wraz z 8 jeszcze innymi podróżującymi; miał silny ból głowy, czuł jakąś sztywność w karku, a wszystka krew zbiegła mu do nóg, które nabrzmiały, sprawiając mu ból ogromny, tembardziej, że i obuwie miał zbyt ciasne. Znajdował się w stanie na pół przytomnym. W prawej kieszeni miał pieniądze w papierach, w lewej paszport a w małym, dobrze zaszytym, skórzanym woreczku na piersiach, kilka sztuk złotej monety. W każdym ze swoich niepokojących snów odnosił zawsze wrażenie, że zgubił którąś z tych kosztowności i dlatego też porywał się co chwila z siedzenia, a pierwszym poruszeniem, jakie wykonywała jego ręka, był trójkąt od prawej kieszeni ku lewej, a potem ku piersiom, ażeby się przekonać, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu.

Parasole, laski i kapelusze kołysały się w siatce, umocowanej u sufitu pudła, zasłaniając sobą prawie zupełnie prawdziwie rozkoszne widoki. Pomimo tego udawało mu się od czasu do czasu rzucić kilka ukradkowych spojrzeń przed siebie i w jego sercu rozbudziły się poetyczne myśli.

Otoczająca go wokoło przyroda była wielką, poważną i ponurą. Zielone smugi świerkowych lasów ciągnęły się wzdłuż skał, których wierzchołki zdawały się ginąć w chmurach. Teraz właśnie zaczął śnieg prószyć — zerwał się gwałtowny wichur.

— Ach! westchnął — gdybyśmy to już byli po drugiej stronie Alp. Tam panuje ciepłe lato, mógłbym więc przełożyć przynajmniej swoje wartościowe papiery. Obawa, jaką mam z ich powodu, nie pozwala mi używać Szwajcaryi, jak należy. O, żeby to prędzej być już po drugiej stronie.

I oto znalazł się po drugiej stronie, w samym sercu Włoch, pomiędzy Florencją a Rzymem. Jezioro Trazymeńskie, oświecone promieniami zachodu, świeciło jak złoto wśród ciemnobłękitnych gór. Tutaj, gdzie Hannibal bił Flaminiusą, gałązki winogrodu podawały sobie zgodnie swoje smukłe, zielone palce. Wesołe, napół nagie dzieci, siedząc pod grupą wawrzynowych drzew, pilnowały trzody świń. Gdybyśmy tylko zdołali oddać te obrazy w całej wspaniałości światła i barw, wszyscy zawołaliby z zachwytem: „Cudne Włochy!” Lecz tego nie powiedział ani teolog, ani żaden z jego towarzyszków podróży, siedzących w karetkce.

Wokoło nich roily się miryady zjadliwych much i komarów i napróżno rozpędzali je mirtowemi gałązkami. Muchy cięły zawzięcie, zostawiając na wszystkich twarzach krwawiące się ślady. Biednych koni nie można było prawie poznać. Muchy siedziały na nich całemi gromadami i odlatywały na chwilę dopiero wtedy, kiedy woźnica schodził z kozła i odpędzał je dużą gałęzią.

Słońce zachodziło właśnie. Krótki, ale lodowaty chłód przeniknął całą naturę. Było to mniej przyjemne, lecz za to wszystkie góry wokoło przybrały jakiś przepysznie zielony ton, taki czysty, migotliwy, taki... pojedźcie zresztą tam sami i zobaczcie to na własne oczy, a będzie to dokładniejsze, niż najlepszy opis! Był to widok, na którego określenie brak porównań, lecz żołądek był pusty, ciało zmęczone, tęsknota serca zaś kręciła się tylko wokoło myśli o noclegu. Dbano o to o wiele więcej, niż o piękną naturę.

Droga prowadziła wprawdzie przez oliwny lasek, było to jednak prawie tak samo, jakby się w ojczyźnie przejeżdżało pomiędzy smutnymi wierzbnami. W pośrodku lasu stał samotny

zajazd. Pół tuzina żebrzących niedołęgów oblegało drzwi wchodowe. Najzdrowszy z nich wyglądał jak „najstarszy syn Głodu, który doszedł już do pełnoletności,” inni zaś byli albo ślepi, mieli wyschłe nogi i pełzali na rękach, albo też mieli powiędłe ramiona i powykręcane ręce. Nędza wyglądała tu bez szminek ze swoich gałganów. — Litości, panowie, litości! — wzdychali, pokazując swoje chore członki.

Bosa gospodyni z nieuczesanemi włosami, w jakąś brudną bluzę otulona, sama przyjmowała swych gości. Drzwi były przymocowane postronkami, a podłogę zastępował tok, sporządzony z kawałków cegieł. Nietoperze latały pod sufitem, a woń jakaś przepępiała izbę...

— Nakryjcie nam lepiej w stajni! — zawołał jeden z podróżnych — tam wie się przynajmniej, czem się oddycha!

Otworzono okna, aby wpuścić trochę świeżego powietrza, lecz prędzej jeszcze, niż ono, wcisnęły się do pokoju pokręcone ramiona i wieczne jęki:

— Litości, panowie, litości!

Na ścianach widniały napisy, z których połowa opiewała piękne Włochy.

Podano jedzenie, składające się z wodzianki, zaprawionej pieprzem i cuchnącą oliwą. Sałata była również obficie skropiona tą samą oliwą.

Okrasą podań były śmierdzące jaja i pieczone kogucie grzebienie. Nawet wino miało jakiś szczególny smak, przypominający lekarstwo.

Na noc przysunięto kufry do drzwi. Jeden z podróżnych stanął na straży, gdy inni spali. Teologowi przypadła rola strażnika. W izbie panował niewysłowiony zaduch.

Gorąco było nie do zniesienia, komary brzęczały i gryzły, a kaleki poza oknami jęczyli nawet przez sen.

— Dobrzeby to było podróżować — westchnął student — gdyby nie miało się ciała. Mogłoby ono spoczywać, podczas gdy duch mógłby bujać swobodnie. Wszędzie, gdziekolwiek przybywam, znajduję braki, które przygniatają moje serce. Moje pragnienia dążą ku czemuś lepszemu, niż to, co mi przynosi obecna chwila, tak, ku dobru nad wszystkie dobra, lecz gdzie znajduje się i czym jest owo dobro? W gruncie rzeczy wiem, czego pragnę. Pragnę podążyć do szczęśliwego celu, do szczęśliwszego nad wszystkie.

Skoro tylko wypowiedział te słowa, ujrzał się napowrót w ojczyźnie; długie, białe firanki zwieszały się z okien, na środku zaś pokoju stała czarna trumna. W trumnie spoczywał *on*, ujęty cichym snem śmierci, życzenie jego spełniło się — podczas gdy ciało spoczywało, bujał duch.

— Nikt nie może się przed swoją śmiercią nazwać szczęśliwym — mawiał Solon, a przysłowie to stwierdziło się w danym wypadku. Każdy trup jest sfinksem nieśmiertelności, a więc i ten sfinks, leżący przed nami w swojej czarnej trumnie, daje nam odpowiedź na to, co, będąc żywym, na dwa dni przedtem napisał:

— O śmierci sroga! Tylko ból jest twoim towarzyszem, a droga twoja prowadzi przez ciemne mogiły! Czy zabierasz duchowi także i jego drabinę Jakóbową? Czyż miałbym przeminąć bez śladu, jak trawa na twojej drodze?

Świat często nie spostrzega naszej największej bojaźni!

Dla ciebie, który nie znalazłeś na świecie przyjaznej dłoni, będzie lżejszą ziemia, która cię objęła, niż niedostatek, którego się obawiasz.

---

Dwie postaci poruszyły się w pokoju. Znamy je obie. Była to Żałoba i posłanka bogini szczęścia.

Pochyliły się nad umarłym.

— Patrz — rzekła Żałoba — jakie szczęście przyniosły ludziom twoje kalosze.

— Przyniosły przynajmniej temu, który tu spoczywa, trwałe dobro — odparła Radość.

— O nie! — powiedziała Żałoba — on sam odszedł, nie będąc wołanym! Zamało dano mu duchowej mocy, aby na swoich barkach miał ponieść to, czego wymagało jego powołanie. Chcę mu wyrządzić dobrodziejstwo!

Mówiąc to, ściągnęła mu z nóg kalosze. Wtedy skończył się sen śmierci i zmartwychwstaniec powstał.

Żałoba zniknęła, unosząc z sobą kalosze.

Uważała je zapewne, jako swoją własność.

---



## ANIOŁ.

Ilekróć umiera dobre dziecko, zstępuje na ziemię Anioł Boży, bierze w objęcia nieżywą dziecinę, rozpościera wielkie białe skrzydła, unosi się ponad wszystkimi ulubionymi miejscami dziecka i zrywa garść kwiatów, które zabiera ze sobą do Pana Boga, aby tam piękniej jeszcze kwitły niż na ziemi. Pan Bóg przyciska wszystkie kwiaty do serca, ale na kwiecie, który jest Mu najmilszy składa pocałunek, przez co kwiat otrzymuje głos i może wtórować śpiewom chóru anielskiego.

Tak opowiadał Anioł Boży niosąc umarłe dziecko do nieba, a dziecko słuchało opowieści jak we śnie. Unosili się nad miejscowościami, gdzie dziecko się bawiło i przelatywali przez ogrody pełne przepysznych kwiatów.

— Któreż zabierzemy ze sobą i zasadzimy w niebie? — zapytał Anioł.

W pobliżu stał smukły wspaniały krzak róży, ale złośliwa ręka złamała pień, tak, że wszystkie gałęzie, pełne wielkich, nawpół otwartych pączków, zwieszały się powiedle.

— Biedny krzak różany! — rzekło dziecko, — zabierz go, żeby na wysokościach, u Pana Boga, mógł znów zakwitnąć!

I Anioł wziął krzak różany, a dziecko pocałował za to i małeństwo otworzyło nawpół oczęta. Zrywali przepyszne kwiaty ozdobne, ale zabrali też ze sobą pogardzony jaskier i dziki bratek.

— Co my teraz mamy kwiatów! — cieszyło się dziecko, a Anioł skinął głową, ale nie ulecieli jeszcze do Pana Boga. Noc była i wszędzie panowała cisza. Pozostali w wielkim mieście i unosili się nad jedną z największych ulic, gdzie leżały całe stosy słomy, popiołu i rozmaitych odpadków. Minął właśnie dzień przeprowadzki. Dokoła leżały skorupy talerzy, potłuczone figury gipsowe, gałgany i stare kapelusze, a wszystko to nie przedstawiało miłego widoku.

Anioł wskazał wśród tych śmieci kilka skorup doniczki od kwiatów i grudkę ziemi, która wypadła i spojona jeszcze była korzeniami wielkiego, zwiędłego kwiatu polnego, teraz już nieposiadającego żadnej wartości i ztąd wyrzuconego na ulicę.

— Zabierzemy go ze sobą — rzekł Anioł. — W drodze opowiem ci dlaczego.

I wzbili się dalej, a Anioł opowiadał:

— Tam w dole, na wąskiej ulicy, w piwnicy mieszkał ubogi chory chłopiec. Od lat najmłodszych leżał zawsze w łóżku. Gdy był zdrowszy, wówczas mógł kilka razy przejść o kulach przez małą izdebkę; to wszystko. Podczas niektórych dni letnich, promienie słoneczne przez pół godziny wpadały do podziemia. A gdy wówczas biedny chłopiec siedział w blasku ciepłego słońca i, trzymając cienkie palce przed oczyma patrzył na przeświecającą różową krew, mówił: „Byłem dziś na spacerze”. Las w przepysznej szacie wiosennej znał tylko z gałęzi grabinowych, które mu co rok przynosił syn sąsiada. Gałąź taką trzymał biedny chłopiec nad głową i marzył, że spoczywa pod drzewami, tam gdzie słońce przyświeca, a ptaki śpiewają. Pewnego dnia wiosennego przyniósł mu syn sąsiada i kwiaty wiosenne, między którymi znalazł się przypadkowo jeden z korzeniami. Wsadzono go też w doniczkę i postawiono na oknie, tuż obok łóżka chłopca. Roślina zasadzona była szczęśliwą ręką, rosła, puszczała nowe pędy i corok okrywała się kwieciami. Zastępowała choremu chłopcu najpiękniejszy ogród, była jego małym skarbem na tej ziemi. Podlewał też kwiat i pielęgnował i pamiętał o tem, aby na niego padał cały blask każdego promienia słońca, który wdzierał się przez niskie okno. Kwiat wplótł się nawet w sny chłopca, albowiem dla niego jedynie się rozwijał, szerzył woń swoją, jego radował oko. Do niego też chłopiec, konając, zwrócił swoje oblicze, gdy Pan powołał go do siebie. Odtąd rok już przebył u Pana Boga, rok stał kwiat zapomniany w oknie i usechł

i dlatego, przy przeprowadzce, wyrzucono go ze śmieciami na ulicę. To jest właśnie ów kwiat, ów biedny uschnięty kwiat, który zabraliśmy do naszej wiązanki, albowiem kwiat ten przyniósł więcej radości niż najpiękniejszy z ogrodu królowej.

— Ale z kąd wiesz o tem wszystkim? — zapytało dziecko, które Anioł unosił do nieba.

— Wiem — odparł Anioł — bo to ja sam byłem owym chorym małym chłopcem, który chodził na kulach! Znam ja dobrze mój kwiat.

Dziecko otworzyło teraz zupełnie oczęta i spojrzało w cudne, słodkie oblicze Anioła. W tej samej chwili znaleźli się w niebie, u Pana Boga, gdzie panuje radość i szczęśliwość. A Pan Bóg przytulił umarłe dziecko do łona, i wnet wyrosły mu skrzydła, jak tamtemu Aniołowi i ręka w rękę wzniesli się razem do lotu. Pan Bóg przycisnął też do serca wszystkie kwiaty, ale biedny, uschły kwiat polny pocałował, i kwiat wnet otrzymał głos i śpiewał ze wszystkimi Aniołami, które unosiły się dokoła Pana Boga, jedne zupełnie blisko, inne wielkimi kręgami dokoła tamtych, coraz dalej i dalej aż do nieskończoności, wszystkie jednak szczęśliwe. A wszyscy śpiewali, mali i wielcy, zarówno dobre błogosławione dziecię, jak i biedny kwiat polny, który wyrzucony wraz ze śmieciami na wąską, ciemną uliczkę, zwiędł i usechł.

---

## Suknie cesarskie.

Przed wielu laty żył pewien cesarz, który miał szczególne zamiłowanie do nowych sukien, tak, że wydawał wszystkie swoje pieniądze, żeby tylko być zawsze odpowiednio ubranym. Nie troszczył się on ani o swoich żołnierzy, ani też o teatr lub polowanie, jeżeli nie miał sposobności wystąpić w nowych szatach.

Na każdą godzinę dnia miał specjalne ubranie, i tak jak o niejednym cesarzu się mówi, że można go zastać tylko w radzie, tak o nim mówiono zawsze, że cesarz jest w gotowalni.

W mieście, w którym rezydował, czas upływał niezmiernie wesoło; każdego dnia przybywało tam wielu cudzoziemców. Między innymi zjawili się także dwóch szarlatanów, którzy się za tkaczy podali, tkających tak piękną materję, że trudno sobie nawet wyobrazić, żeby coś równie wspaniałego można było stworzyć. Ale niczem miały być przepyszne barwy i wzory wobec tajemniczej własności sukien, utkanych z tej materji, które dla oka każdego, nieodpowiednio piastującego swój urząd lub głupiego, pozostawały niewidzialnymi.

— To byłyby rzeczywiście nieocenione szaty — myślał cesarz — gdybym posiadał podobne ubranie, mógłbym z łatwością przekonać się, którzy mężowie w moim państwie zajmują nieodpowiednio swój urząd, jakoteż rozróżniać mądrych od głupców!

Tak! stanowczo materja musi być dla mnie utkana!

Dał więc obu oszustom sporo pieniędzy, żeby mogli zacząć swoją robotę.

Ci postawili dwa tkackie warsztaty, ustawili się tak, jakgdyby pracowali, gdy na warsztatach nic zgoła nie było. W wymaganiach za to nie znali miary, żądali ustawicznie najcieńszego jedwabiu i najwspanialszego złota. To, co otrzymali, naturalnie kładli do własnych kieszeni, a pracowali przy pustych warsztatach często do późnej nocy.

— No, chciałbym się wreszcie przekonać, jakie praca robi postępy — pomyślał cesarz — było mu jednakże trochę nieswojo na myśl, że głupi lub niepowołany do swego urzędu nicby nie dojrzał. Ale chociaż nie wątpił, że nie potrzebuje przecie mieć żadnych obaw pod tym względem, postanowił jednakże wysłać najpierw innych, żeby zobaczyć, jak rzeczy stoją.

Wszyscy ludzie w całym mieście wiedzieli o tajemniczej mocy materji i każdy ciekaw był zobaczyć, jak głupim i nieudolnym jest jego sąsiad.

— Poślę do tkaczy mego zacnego, starego ministra — pomyślał cesarz — on może najlepiej osądzić, jak wygląda materja, gdyż jest rozumny i nikt właściwiej od niego nie zajmuje swego urzędu.

Poszedł więc stary minister do sali, gdzie pracowali dwaj tkacze przy pustych warsztatach.

— Boże, zmiłuj się — pomyślał stary poczciwiec, wyteżając oczy — ależ ja nic nie widzę. Nie wypowiedział jednakże swojej myśli. Dwaj oszuści poprosili go bliżej, przystąpili i zapytali, czy nie uważa, jak rzeczywiście piękny jest wzór i wspaniałe kolory. Przytem wskazali na pusty warsztat, a biedny minister, chociaż wzroku bynajmniej nie szczędził, nie mógł jednakże nic rozróżnić, z tej prostej przyczyny, że nic na warsztacie nie było.

— Mój Boże — pomyślał — czyżbym był głupim? Tego nie przypuszczam i o tem chyba żaden człowiek nie powinien się dowiedzieć! Czyżbym się niewłaściwie znajdował na mojem stanowisku? Nie, to jest stanowczo niemożliwem, żebym się miał przyznać, że nie mogę materji zobaczyć!

— No i pan nic na to? — badał jeden z tkaczy.

— O, rzeczywiście, nie mogę nie przyznać, że jestto wspaniałe — powiedział stary minister, spoglądając przez okulary, — co za wzór, co za kolory! Tak, powiem cesarzowi, że

mi się tkanina niezmiernie podobała.

— Cieszy nas to ogromnie — powiedzieli dwaj tkacze i w tej chwili nazwali barwy po imieniu i zaczęli się unosić nad wspaniałością wzoru. Stary minister przysłuchiwał się uważnie, żeby mógł to samo powtórzyć, gdy powróci do cesarza i tak też zrobił.

Teraz zaczęli szarlatani wymagać jeszcze więcej pieniędzy, jedwabiu i złota, czego jeszcze jakoby do dalszej roboty potrzebowali. Obładowywali tem wszystkim swoje kieszenie, na warsztatach nie było ani jednej nitki, a oni pracowali pozornie w dalszym ciągu. Cesarz wysłał wkrótce drugiego dobrodusznego urzędnika, ażeby sprawdził, i czy materya będzie już wkrótce gotowa. Temu poszło zupełnie tak, jak ministrowi, patrzył i patrzył, ale oprócz pustego warsztatu nic nie widział, gdyż i nic innego nie mógł zobaczyć.

— Czyż nieprawda, że jestto piękny kawał materyi? — zagadnęli oszuści, pokazując i objaśniając piękności wzoru, którego wcale nie było.

— Głupi przecie nie jestem — pomyślał człowieczyna — widocznie więc jestem niezdolny do urzędu, który zajmuję, to byłoby szczególne, nie mogę jednak dopuścić, żeby to miał kto zauważyć!

Więc chwalił materyę, której nie widział i wyrażał swój zachwyt nad pięknością wzoru i doborem kolorów.

— Tak, to jest rzeczywiście coś cudownego — rzekł potem do cesarza. Wszyscy w mieście mówili tylko o wspaniałej materyi.

Teraz zapragnął cesarz sam ją zobaczyć, dopóki jeszcze znajduje się na warsztacie. Udał się więc z całą świtą wybranych mężów, między którymi znajdowali się także dwaj starzy, poczciwi urzędnicy, do chytrych oszustów, którzy tkali z niezmordowanym natężeniem, ale bez nici.

— Czyż nie wygląda bogato? — zapytali dwaj dobroduszni urzędnicy; — pozwoli wasza cesarska mość zwrócić uwagę na wzór i barwy.

I zbliżyli się do pustego warsztatu, gdyż sądzili, że inni przecie muszą materyę widzieć.

— Co to jest — pomyślał cesarz — nie widzę nic. To jest doprawdy okropne! czyżbym był głupi? czy nie nadaję się na cesarza? To byłby najstraszniejszy cios dla mnie!

— O, jestto prześliczna tkanina — powiedział jednakże głośno — ma moje zupełne uznanie!

I zbliżył się zadowolony i podziwiał pusty warsztat, gdyż nie chciał się z tem zdradzić, że nic zobaczyć nie może. Całe otoczenie, z którym tu przybył, patrzyło i patrzyło, nie doszło jednakże do niczego więcej, jak wszyscy inni, pomimo to jednogłośnie mówili cesarzowi: „O, jakież to piękne” i radzono mu włożyć nowe szaty z tej wspaniałej materyi pierwszy raz na uroczysty występ, który się właśnie zapowiadał.

— Cudowne, prześliczne, zachwycające! — przechodziło z ust do ust i wszyscy byli z tego zadowoleni.

Cesarz kazał dwom szarlatanom zawiesić rycerskie krzyże w dziurkach od guzików i nadał im tytuł tajnych nadwornych tkaczów.

Całą noc, poprzedzającą uroczystość, spędzili oszuści na czuwaniu i zapalili przeszło szesnaście świec. Wszyscy przechodnie mogli oglądać, jak bardzo zatrudnionymi byli wykończaniem nowych szat cesarskich. Wykonywali ruchy, jakgdyby materyę z warsztatów zdejmowali, cięli nożyczkami w powietrzu, szyli igłami bez nici, a w końcu rzekli:

— No, nareszcie strój ukończony.

Cesarz ze swymi wybranymi dworzanami przyszedł sam do nich, a oni, podniósłszy w górę ramiona, jakgdyby coś trzymali, rzekli:

— Proszę spojrzeć, tu jest ubranie dolne, tu wierzchnia szata, oto płaszcz i t. d. Jestto tak lekkie, jak pajęcza przędza, możnaby sądzić, że się nic nie ma na sobie, ale właśnie to jedną z wielu zalet tego stroju.

— Tak! — potwierdzili jednogłośnie dworzanie; nie mogli jednakże nic zobaczyć, gdyż nic do zobaczenia nie było...

— Pozwoli wasza cesarska mość zdjąć swoją szatę — powiedzieli oszuści — ażebyśmy mogli włożyć waszej wysokości nowe, tu, przed wielkiem zwierciadłem.

Cesarz zdjął swoje ubranie, a oszuści wykonywali ruchy, jakgdyby wkładali mu każdą część nowego stroju, który miał być ukończony, i brali go pod pachy i udawali, że coś zawiązują, co miało być płaszczem, a cesarz kręcił się i obracał przed lustrem.

— Jak cudnie ubiera; jak ślicznie leży! — wołali wszyscy — co za wzór, co za barwy, co za wspaniały strój.

— Na dworze czekają z baldachimem, który będzie niesiony podczas uroczystego pochodu nad waszą cesarską mością — zameldował mistrz ceremonii.

— No, jestem gotów — powiedział cesarz — czyż źle leży? I obrócił się jeszcze raz przed zwierciadłem, gdyż chciał tak wyglądać, jakgdyby swój strój podziwiał.

Kamerherzy, którzy mieli nieść płaszcz, zniżyli ręce do podłogi, jakgdyby coś unosili, a później trzymali je ciągle w powietrzu, gdyż nie chcieli, żeby kto zauważył, iż nic nie widzą.

I tak szedł cesarz w uroczystym pochodzie, pod bogatym baldachimem, a wszyscy ludzie na ulicy i w oknach wołali:

— O nieba! jakąż nieporównana jest nowa szata cesarska, co za płaszcz wspaniały, jaka prześliczna całość ubioru!

Nikt nie chciał się przyznać, że nic nie widzi, gdyż to znaczyłoby, iż jest głupi ogromnie, lub niepowołany do urzędu, który zajmuje.

Żadna królewska suknia nie uczyniła jeszcze takiego wrażenia.

— Ależ on nie ma nic na sobie! — zawołało nagle małe dziecko.

— O nieba, słuchajcie głosu niewinności — powiedział ojciec dziecięcia, i jeden powtarzał drugiemu odezwanie się dziecka.

— On nie ma nic na sobie! małe dziecko, które się tam znajduje, twierdzi, że on nie ma nic na sobie.

— On nie ma nic na sobie! — zawołał wkońcu cały lud.

To zastanowiło cesarza, gdyż jemu samemu zdawało się, że ogół ma rację, ale pomyślał:

— Teraz już nic nie pomoże, trzeba wytrwać do końca. I przybrał znowu dumną postawę, a kamerherzy kroczyli za nim poważnie, podtrzymując tren płaszcza, którego wcale nie było.



# SYRENA.

W najodleglejszych głębinach morskich woda jest tak błękitna, jak listki najpyszniejszych bławatów i tak przezrocza, jak kryształ — ale jestto już niezmiernie głęboko, tak głęboko, że już tam żadna lina kotwiczna nie sięga; trzeba by wiele było ustawić wysokich wież kościelnych jedna na drugiej, aby z głębin wód wzniosły się ponad powierzchnię. Tam zamieszkuje lud morski.

Nie należy jednak sądzić, aby dno było tam nagie, białe i piaszczyste; o nie, rosną tam najdziwniejsze drzewa i rośliny, których pnie i liście tak są wiotkie i gibkie, że przy najmniejszym falowaniu wód poruszają się jak żywe istoty. Wszystkie ryby, duże i małe, prześlizgują się pomiędzy gałązkami, zupełnie tak, jak tutaj ptaki w powietrzu. W najgłębszej toni wznosi się zamek króla morza; ściany ułożone są z koralu a wysokie, wąskie okna z najprzezroczystszeo bursztynu, dach składa się z łupin muszlowych, które stosownie do napływu wody otwierają się, lub też zamykają. Przedstawia to cudowny widok, gdyż w każdej z nich leżą lśniąca perły, z których każda mogłaby być wspaniałą ozdobą w koronie królowej.

Król morza, tam głęboko, owdowiał przed wieloma laty, rządy zaś domowe sprawowała jego stara matka. Była to mądra pani, lecz bardzo dumna ze swego pochodzenia, z którego to powodu, jako odznakę orderową, nosiła na ogonie 12 ostrzeg, podczas gdy inni znakomici poprzestać musieli tylko na 6-ciu. Zresztą zasługiwała na zupełną pochwałę, szczególnie ze względu na starania i miłość, jakimi otaczała swoje wnuczki, małe księżniczki morza. Było ich 6, pięknych jak obrazy, lecz najmłodsza była piękniejsza nad wszystkie. Jej skóra była tak przezroczystą i delikatną, jak listek różany, jej oczy tak błękitne, jak toń morza, ale jak i wszystkie inne, nie miała nóg, a niższa część ciała przybierała kształty rybiego ogona.

W ciągu całego Bożego dnia mogły się bawić w ogromnych salach swego podwodnego zamku, w którym żywe kwiaty ze ścian wyrastały. Otwierały się ogromne okna bursztynowe i wtedy wpływały tam ryby, tak jak wlatują nasze jaskółki, kiedy się okna otworzy. Ryby jednakże podpływały do małych księżniczek, jadły z ich rąk i pozwalały się głaskać.

Wokoło zamku ciągnął się olbrzymi ogród z czerwonymi jak płomień i ciemno-błękitnymi drzewami; owoce na nich lśniły jak złoto, a kwiaty jak płonące zarzewie, podczas gdy pnie i liście bezustannie się poruszały. Ziemię stanowił przepyszny piasek, ale tak błękitny, jak płomień siarki. Nad tem wszystkim unosiła się tajemnicza, sina mgła. Raczej możnaby było przypuścić, że się stoi hen, wysoko ponad powietrzem, i ma się tylko niebo nad i pod sobą, niż to, że się znajduje w głębiach morza.

Podczas ciszy można było widzieć słońce, wyglądające jak kwiat purpurowy, z którego kielicha lało się jasne, jarzące światło.

Każda z małych księżniczek miała swój oddzielny kącik w ogrodzie, w którym stosownie do upodobania mogła kopać i sadzić rośliny. Jedna nadawała swojemu łóżu kwiatowemu kształty wieloryba, druga zaś wołała, aby jej łóżeczko podobnem było do syreny, najmłodsza zaś zrobiła swoje okrągłem jak słońce, spłotłszy je z kwiatów, tak jak słońce o purpurowym połysku. Była to dziwna dziecina, cicha i zamyślona i podczas gdy jej siostrzyczki stroiły się w różne błyskotki, znalezione w rozbitych okrętach, ona oprócz purpurowych kwiatów, podobnych do słońca tam w górze, chciała mieć tylko kolumnę, przedstawiającą cudnie pięknego chłopca.

Kolumna, która przy lądowaniu zatoneła w głębiach morza, wyrzeźbioną była z białego, czystego marmuru. Około tej kolumny zasadziła księżniczka czerwoną jak róża wierzbę płaczącą. Wyrosła wkrótce wspaniale i zwieszała się daleko ponad nią swojemi świeżemi gałązkami, aż do błękitnego piasku u podnóża, gdzie cień wydawał się fioletowym i zdawał się wraz z gałązkami poruszać.

Wyglądało to tak, jak gdyby wierzchołek igrał i całował się z korzeniami.

Nie było dlań większej uciechy nad tę, jak usłyszeć coś hen, ztamtąd, od świata ludzi. Stara babka musiała jej wszystko opowiadać, co tylko wiedziała o okrętach i miastach, o ludziach i zwierzętach.

Najdziwniejszym wszakże i najciekawszym wydawał jej się ten szczegół, że kwiaty tam w górze, na ziemi, wydzielały z siebie zapachy, czego nie było w toni morskiej, że lasy były zielone i że ryby, które się tam pomiędzy gałęziami widzieć dawały, śpiewały tak pięknie, że aż serce drżało z upojenia. Były to maleńkie ptaszki, które babka rybami nazywała, gdyż nie mogła tego inaczej wnuczkom wytłómaczyć, które nigdy jeszcze ptaków nie widziały.

— Kiedy skończycie po lat 15 — rzekła babka — pozwolę wam wynurzać się z morza, siadywać na skałach w blasku księżyca i przypatrywać się wielkim okrętom, obok żeglującym. Zobaczycie wtedy lasy i miasta.

W najbliższym roku jedna z sióstr ukończyła lat 15, lecz pozostałe, niestety... każda z nich o rok była młodszą od drugiej, tak że najmłodszej jeszcze pięć pełnych lat brakowało, zanimby mogła wynurzać się z wody i widzieć, co się u nas dzieje. Jedna wszakże obiecywała drugiej opowiedzieć jej o wszystkim, co tylko zobaczy i co jej się najbardziej będzie podobało pierwszego dnia; gdyż babka opowiadała im o tem nie dosyć długo a było tam wszakże jeszcze tak wiele, o czymby chętnie chciały mieć pojęcie.

Żadna jednak z nich nie tęskniła tak bardzo, jak najmłodsza i to ta właśnie, która najdłużej czekać musiała i która była tak cichą i zamyśloną. Nie jedną noc przestała przy otwartem oknie, przyglądając się przez ciemny błękit wód wesoło igrającym rybkom. Widziała także księżyc i gwiazdy, lecz bledsze i większe o wiele, niż my je widzimy; a kiedy ponad nią przesunęła się czasem jakaś ciemna chmura, to wiedziała, że jest to wieloryb, albo też okręt z wieloma ludźmi. Ci zapewne nawet nie przeczuwali, że piękna syrena, z głębi wód morskich, wyciąga ku nim swoje białe rączki.

Zdarzyło się, że najstarsza księżniczka ukończyła właśnie 15 lat i mogła już wznieść się ponad powierzchnię morza.

Kiedy powróciła ze swojej wycieczki, opowiadaniom końca nie było, najpiękniejszym wszakże ze wszystkiego wydało jej się, jak mówiła, leżeć przy blasku księżyca, nad spokojnem morzem, na ławie piaszczystej i obserwować bezpośrednio nad wybrzeżem położone miasto, gdzie błyszcząły tysiące światel, podobnych gwiazdom na niebie, słuchać muzyki i gwaru i szumu powozów i ludzi, oglądać wieżycy i baszty i chwytac dźwięki dzwonów. Opowiadania te najbardziej wzruszyły najmłodszą księżniczkę, która jeszcze wypływać nie mogła, i napełniły jej serce nową tęsknotą.

Z jakąż uwagą wsłuchiwała się w te opowiadania, a kiedy potem stanęła wieczorem przy otwartem oknie i spojrzała ku górze przez ciemne błękity wód, wszystkie jej myśli skierowane były na owo wielkie miasto wraz z jego hałasem i szumem, i zdawało się jej, że dzwonią dzwony kościelne i że odgłosy te spływają aż ku niej.

W rok potem otrzymała i druga siostra pozwolenie wynurzyć się z wody i pływać, gdzie zechce. Wypłynęła podczas zachodu słońca i ten właśnie widok wydał jej się najbardziej pięknym. Całe niebo wyglądało jak złotem oblane — opowiadała — a chmury, no, tych piękności nie była już w stanie opisać. Różowe i błękitne jak fiołki żeglowały ponad jej głową, ale jeszcze szybciej jak one, przeleciało nad wodą stado dzikich łabędzi, podobne do długiego, białego całuna i podążyło w stronę uciekającego słońca.

Wtem słońce zaszło i zgasły w chmurach i wodnych zwierciadłach różowe blaski.

W następnym roku popłynęła trzecia siostra; była ona najodważniejszą, popłynęła więc w górę szerokiej rzeki, która wpadała do morza. Przepysnie zielone wzgórze, pokryte

winogradem, ukazały się nagle jej oczom, przez bujne i cierniste lasy przeglądały zamki i wille. Słyszała, jak wszystkie ptaki śpiewały, a słońce grzało tak silnie, że kilkakrotnie musiała się zanurzać, aby ochłodzić pałające lica. W małej zatoczce, ujrzała cały zastęp malutkich dzieci ludzkich; nagie zupełnie, biegały po brzegu i pluskały się w wodzie. Zapragnęła pobawić się z nimi, lecz, przerażone uciekły. Nagle zjawilo się małe, czarne zwierzę. Był to pies, którego dotąd nigdy jeszcze nie widziała; z wściekłym wrzaskiem rzucił się ku niej, więc przestraszona wróciła znów na pełne morze. Nigdy już jednak nie mogła zapomnieć, ani o wspaniałych lasach i zielonych wzgórzach, ani o malutkich dzieciach, umiejących pływać bez pomocy rybiego ogona.

Czwarta siostra nie była tak odważną, trzymała się tylko pełnego, dzikiego morza, utrzymując, że tam właśnie było najpiękniej. Można było spojrzeć ztamtąd na kilka mil wokoło, a niebo wznosiło się nad głową jak dzwon szklany. Widziała okręty, ale tylko zdaleka — wyglądające, jak mewy z wybrzeża; wesołe delfiny wywracały koziołki a wielkie wieloroby wyrzucały wodę z nozdrzy, tworząc setki ruchomych fontan.

Wreszcie przyszła kolej na piątą siostrę. Jej urodziny wypadły właśnie w pośrodku zimy, dlatego też ujrzała to, czego inne po raz pierwszy nie widziały.

Całe morze było zielone, a ze wszystkich stron płynęły olbrzymie góry lodowe, z których każda, podług jej opowiadania, wyglądała jak perła i przewyższała wielkością wszystkie wieże kościelne, budowane przez ludzi. Przybierały one najdziwniejsze kształty, siejąc naokół dyamentowe blaski. Usiadła sobie na najwyższej z nich a przerażeni żeglarze ze zgrozą omijali miejsce, gdzie siedziała, pozwalając wiatrom igrać z długimi splotami swych włosów.

Pod wieczór ciemne chmury pokryły niebo, wśród blasku błyskawic zahuczały gromy, podczas gdy czarne bałwany unosiły wysoko lodowe bryły, oświecane co chwila oślepiającymi światłami burzy. Na wszystkich okrętach ściągnięto żagle, nastala rozpacz i zgroza, a ona spokojna, siedząc na swojej wysokiej górze lodowej, patrzyła jak błękitnawe gzygzaki piorunów biły w pienie się morze.

Każda z sióstr, wypłynawszy po raz pierwszy z wody, zachwycała się każdą nowością, na którą patrzyła — teraz wszakże, będąc już dorosłymi dziewczycami i mając zapewnioną zupełną swobodę ruchów, obojętnie patrzyły na nowe obrazy i zatęskniły do swojej ojczyzny — po upływie zaś jednego miesiąca orzekły, że najwspanialej jest tam u nich, w dole i że najmilej jest siedzieć w domu.

Czasami w wieczornych godzinach, ujawszy się za ręce, wypływały na powierzchnię wody. Posiadały przepyszne głosy, piękniejsze, niż wszystkie dzieci ludzi, a kiedy zrywała się burza i przypuszczały, że okręty zatoną, płynęły naokoło okrętów, śpiewając słodkie pieśni o cudach morskiej toni i prosząc żeglarzy, aby się nie obawiali zatonąć. Ci wszakże słów nie rozumieli, sądząc, że są to tylko odgłosy burzy, a kiedy okręt zatonął, nie mogli podziwiać tych wspaniałości, gdyż już jako zimne trupy sphywali do zamku króla morza.

Kiedy tak wieczorami siostry ręka w rękę wypływały na morze, mała księżniczka pozostawała sama i spoglądała za nimi i zdawało jej się wtedy, że się musi rozpłakać — lecz syreny łez nie znają i dlatego też cierpią daleko silniej.

— Ach, gdybym już miała lat 15 — myślała — jestem pewną, że pokocham ten świat u góry i tych ludzi, którzy na nim budują i zamieszkują.

Nareszcie doszła lat 15-tu.

— Patrz, oto już nas dorostaś — rzekła jej babka, stara królowa wdowa. — Pójdź do mnie, abym cię mogła ustroić, jak twoje siostry!

I włożyła jej wieniec z białych lilii na skronie, z których każdy kwiat był perlą w połowie; następnie stara babka wpięła jej osiem dużych ostryg do ogona, ażeby uwydatnić jej wysokie



dostojeństwo.

— Ależ to boli — rzekła mała syrena.

— Tak; książęca podróż musi być z przymusem! — odparła babka.

O, z jakąż chęcią byłaby się wyrzekła tej pompy i odłożyła ciężką koronę! Jej purpurowe kwiaty z ogródka stroiły ją o wiele piękniej, lecz na to nie było rady żadnej.

— Bądź zdrowa! — zawołała i lekko i wdzięcznie wzniosła się nad wodę.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy uniosła głowę nad zwierciadłem morza, ale jeszcze wszystkie chmury błyszcząły jak róże i złoto, a w pośrodku bladoczerwonego powietrza, świeciła jasno i migotliwie gwiazda wieczorna. Powietrze było łagodne i świeże i najłżejszy powiew wiatru nie zmarszczył gładkiej powierzchni morza. Niedaleko spoczywał duży trzymasztowiec. Jeden tylko żagiel był naciągnięty, gdyż cicho było zupełnie — naokoło zaś na linach i masztach siedzieli majtkowie. Słychać tam było śpiewy i muzykę a kiedy zmrok nastął zupełny, zabłyśły światła setek kolorowych latarni. Wyglądały one, jakgdyby flagi wszystkich narodów powiewały w powietrzu.

Syrena podpłynęła aż pod samo okno kajuty a ilekroć razy wzniosła się woda, mogła zajrzeć przez jasną jak lustro szybę okna, tam, gdzie stało dużo strojnych ludzi, pomiędzy którymi najpiękniejszy był młody książę o dużych, ciemnych oczach. Nie miał on zapewne więcej jak 16 lat i jego to właśnie obchodzono urodziny, i ztąd ta cała, wielka uroczystość. Majtkowie tańczyli na pokładzie, a kiedy wśród nich zjawił się młody książę, setki rakiet wystrzeliło w powietrze.

Zabłyśły one jak jasny dzień tak, że przerażona księżniczka, pełna trwogi, zanurzyła się w wodę. Wkrótce wszakże wysunęła znów głowę i wtedy zdawało jej się, że wszystkie gwiazdy z nieba spadają ku niej. Nigdy jeszcze nie widziała podobnych cudów. Wielkie słońca, sycząc, kręciły się wkoło, przepyszne ryby ogniste wzbijały się w błękitne powietrze, a wszystko to odbijało się migotliwie w przezroczystej, cichej powierzchni morza. Na samym okręcie było tak jasno, że najmniejszą linkę można było zauważyć, nie mówiąc już o ludziach. Jakżeż pięknym był ten młody książę, z miłym uśmiechem ściskający dłonie swych ludzi, gdy echo niesło słodkie tony muzyki w noc głęboką.

Było już bardzo późno, ale syrenka nie mogła odwrócić oczu od okrętu i od pięknego księcia. Nareszcie zgasły światła latarni, rakiety nie strzelały w powietrze, ucichło bicie z armat i tylko z głębin morza dochodził szum głuchy.

W trakcie tego siedziała syrenka na wodzie, kołysząc się na falach i od czasu do czasu zaglądając do kajuty. Lecz coraz silniej kołysał się okręt, rozwijano żagiel po żaglu, bałwany uderzały coraz gwałtowniej, nadciągały coraz ciemniejsze chmury a dalekie błyskawice oświecały horyzont. Tak, zbliżała się straszliwa burza! Majtkowie pośpiesznie rozwinęli wszystkie żagle.

Wielki okręt zachwiał się i pomknął na dzikie morze; jak góry olbrzymie, ciemne bałwany przelewały się z szumem przez pokład, lecz okręt wynurzał się z wody jak łabędź i unosił się znów na falach. Dla syrenki przejażdżka ta była igraszką, inaczej wszakże sądzili o tem żeglarze. Okręt jęczał i trzeszczał, grube belki gięły się pod potężnym naciskiem wody, uderzając o boki, główny maszt runął z trzaskiem, jak nikła trzcina i okręt położył się jednym bokiem na fali, gdy woda poczęła gwałtownie napływać do wnętrza.

Teraz dopiero pomiarkowała syrenka, jakie ludziom groziło niebezpieczeństwo i musiała się już sama pilnować, aby nie być uderzoną belkami i szczątkami okrętu, niesionymi przez wodę.

Przez jakąś chwilę zapanowała taka straszna ciemność, że nic zgoła widać nie było,

a kiedy potem zajaśniała błyskawica, zrobiło się znowu tak jasno, że syrenka wszystkich na okręcie dokładnie poznać mogła. Każdy się kręcił i ratował jak umiał. Uwaga jej skierowała się przede wszystkim na młodego księcia. Ujrzała jak zniknął z pokładu okrętu i runął w głębie.

W pierwszej chwili ucieszyła się tem, gdyż wtedy dostałby się do niej, potem wszakże przyszło jej na myśl, że przecież ludzie nie mogą żyć w wodzie, i młody książę już jako trup tylko spłynie do zamku króla morza.

— Nie, on umrzeć nie może!

Podpłynęła więc bliżej i nie bacząc na własne niebezpieczeństwo, przedostała się przez belki i maszty, unoszone przez wodę, zanurzyła się w fali i wypłynęła znowu wysoko. Nareszcie dosięgła młodego księcia, który już z trudem tylko utrzymał się na wzburzonej powierzchni morza. Czuł jak pomału wyczerpywała się siła jego nóg i ramion, jego piękne oczy mgłą zachodziły, i byłby zginął niezawodnie, gdyby księżniczka nie pośpieszyła mu z pomocą. Pochwyciła go na ręce i, wznosząc głowę po nad wodę, pozwoliła unosić się fali, dokądby chciała.

Nad ranem burza ucichła. Okręt zniknął bez śladu. Czerwone, błyszczące słońce wynurzało się z wody. Pod jego wrażeniem lica księcia zdawały się nabierać życia, lecz oczy jego były ciągle zamknięte.

Syrenka złożyła pocałunek na jego wysokim, pięknym czole i odgarnęła mu ręką zmoczone włosy. Zdawało jej się wtedy, że odnajduje w nim pewne podobieństwo do marmurowej statui, którą miała w swoim ogrodzie.

Pocałowała go znowu a potem raz jeszcze, pragnąc z całej duszy, ażeby ożył.

Wreszcie ukazał się jej oczom stały ląd. Ujrzała wysokie, sine góry, których śnieżne szczyty błyszczwały z dala, jak stado białych łabędzi. U stóp ich, na wybrzeżu, ciągnęły się wspaniałe, zielone lasy, wśród których wznosił się jakiś klasztor, czy kościół, czego z oddali nie mogła dokładnie rozróżnić. W położonym obok ogrodzie rosły cytrynowe i pomarańczowe drzewa a przed wejściem stały wyniosłe palmy. Morze tworzyło tutaj małą zatokę, w której woda była wprawdzie cicha, lecz głęboka, zatokę okręzały skały, wysypane delikatnym, białym piaskiem. Tutaj wpłynęła więc syrenka z pięknym księciem i ułożyła go na piasku, starając się głównie o to, aby promienie słońca ogrzewały jego głowę.

Wtem zadźwięczał głos dzwonka w białym, dużym budynku. W ogrodzie ukazało się grono młodych dziewczic, wtedy syrenka ukryła się za kupą wysokich kamieni, sterczących nad wodą, pokryła włosy i piersi pianą morską, tak, aby jej miłego oblicza nikt nie mógł zauważyć i poczęła się przyglądać, kto też przyjdzie do biednego księcia.

Jakoż wkrótce potem zjawiła się młoda dziewczica. Na razie, jak się zdawało, lęk ją ogarnął, lecz zaraz potem sprowadziła ludzi i syrenka ujrzała, jak młody książę przyszedł do siebie, darząc uśmiechem wszystkich otaczających, z wyjątkiem, naturalnie, swojej wybawicielki, nie wiedział bowiem, że jej to właśnie swoje życie zawdzięczał. Uczuła więc wielki smutek a kiedy młodego księcia wprowadzono do wielkiego budynku, z rozpaczą zanurzyła się w wodę i powróciła do zamku swojego ojca.

O ile dotychczas była zawsze cichą i zamyśloną, o tyle teraz nastąpiła w niej zupełna przemiana. Siostry pytały ją, co tam po raz pierwszy widziała na górze, lecz ona to nie odpowiadała wcale.

Nieraz jeszcze potem, wieczorem, lub z rana, wynurzała się na owem miejscu, gdzie opuściła młodego księcia. Widziała, jak owoce w ogrodzie dojrzewały i były zrywane, widziała, jak śnieg tajał na wysokich górach, lecz księcia nie ujrzała więcej i coraz smutniejsza wracała do domu. Jedyną jej uciechą było siadywać w swoim ogrodzie i obejmować ramionami piękną statuę marmurową, tak bardzo przypominającą młodego księcia, zapominała

natomiast o swoich kwiatach, które rosły teraz dziko i, pnąc się długimi łodygami coraz wyżej, spletały się z gałęziami drzew, tworząc w ten sposób rodzaj cienistej altany.

Nareszcie nie mogła już tak dłużej wytrzymać, opowiedziała więc swoją przygodę jednej z sióstr a ta opowiedziała ją pozostałym. Nikt zresztą więcej nie dowiedział się o tem, oprócz jeszcze kilku innych syren, które znów podzieliły się tą wiadomością tylko z najbliższymi przyjaciółkami. Jedna z nich była nawet w stanie dorzucić kilka szczegółów, dotyczących księcia. Była ona także świadkiem owej uroczystości urodzin, wiedziała z kąd pochodził i gdzie leżało jego królestwo.

— Pójdź z nami, siostrzyczko! — zawołały pozostałe księżniczki i, ująwszy się za ręce, wypłynęły długim szeregiem w owym miejscu, gdzie stał zamek księcia.

Był on z jasno żółtej, błyszczącej cegły pobudowany, z wielkimi marmurowymi schodami, prowadzącymi do morza. Wspaniałe wyzłocone kopuły wznosiły się ponad dachem a pomiędzy kolumnami, otaczającymi gmach, stały marmurowe posągi o ludzkich kształtach; przez przezroczyste szyby okien widać było wspaniałe sale, z pozawieszanymi na ścianach drogocennymi materyami i obiciami, wszystkie zaś ściany zdobiły cudne malowidła, że aż rozkosz brała, patrząc na to wszystko. W pośrodku największej sali szeleściła cicho fontanna a jej błyszczący strumień wznosił się aż pod szklaną kopułę sufitu, przez którą słońce spoglądało na piękne rośliny rosnące w basenie wodotrysku.

Nareszcie więc dowiedziała się, gdzie mieszkał! i odtąd każdego wieczora i nocą ukazywała się nad wodą. Przy pływała zwykle o wiele bliżej do brzegu, niż którakolwiek inna syrena, odważyła się nawet wpływać do wąskiego kanału, aż pod wspaniałą marmurową altanę, rzucającą długi cień na morze. Tutaj siadywała przypatrując się młodemu księciu, który, obłany czystym światłem miesiąca, sądził się być samym. Widywała go niekiedy wieczorem, żeglującego w takt muzyki na swojej flagami przyozdobionej łodzi; patrzyła wtedy po przez zieloną trzcinę, a kiedy wiatr rozwiał czasem jej długą, białą woalkę i ktoś ją wtedy zobaczył, to sądził zapewne, że jest to łabędź, rozwijający białe skrzydła do lotu. Niejednokrotnie w nocy słyszała, jak rybacy, łowiąc w morzu ryby przy jaskrawym blasku pochodni — dużo dobrego o księciu opowiadali, cieszyła się więc niezmiernie, że mu życie uratowała, kiedy półżywy płynął z falami i myślała zarazem, jak wtedy silnie jego głowa spoczywała na jej piersi i jak go potem całowała.

O tem wszystkim on nic nie wiedział i nie mógł nawet śnić o niej. Z każdym dniem wyradzała się w niej coraz silniejsza miłość do ludzi, z każdym dniem pragnęła coraz mocniej wypływać ku nim i przebywać z nimi, ponieważ ich świat wydawał się jej większym i piękniejszym od jej ojczyzny. Oni mogli przecież pływać na okrętach po morzu, mogli się wspinać na niebotyczne góry a ich kraje, pokryte lasami i zielonemi niwami, ciągnęły się dalej, niż jej wzrok sięgał. Było tam tyle rzeczy, o których wiedzieć pragnęła — siostry jej wszakże nie były w stanie dać jej na wszystko odpowiedzi, musiała więc zapytać babki, która ten wyższy świat, jak go słusznie nazywała, leżący ponad morzem, dokładnie знаła.

— Jeżeli ludzie nie utoną — spytała syrenka — czy także żyją wiecznie i czy nie umierają, jak my tutaj w głębinach morza?

— O tak — odparła stara — i oni również muszą umierać a okres ich życia krótszy jeszcze, niż u nas. My dożywamy 300 lat, lecz z chwilą śmierci zamieniamy się w pianę i nie mamy nawet grobów wśród naszych drogich. My nie posiadamy nieśmiertelnej duszy i nic nas już potem nie wskrzesi do życia; podobni zielonym porostom, które raz zerwane, już się nigdy potem nie zazielenią! Ludzie natomiast posiadają duszę, żyjącą po wieki wieków, nawet wtedy, kiedy ich ciała znów w proch się obróca. Wznosi się ona po nad eterem, hen, aż ku gwiazdom! Jak my wznosimy się po nad morze, aby oglądać kraje ludzi, tak ona wznosi się ku owym, wspaniałym, tajemniczym światom, których my nigdy oglądać nie będziemy.

— A dlaczego my nie otrzymaliśmy nieśmiertelnej duszy? — zapytała zasmucona syrena.

— Z chęcią zaofiarowałabym moje setki lat życia za to, aby chociaż w ciągu jednego dnia być człowiekiem i dostać się potem do niebiańskich światów.

— O tem nie powinnaś myśleć nawet — odparła stara — nasz żywot jest tutaj lepszym i szczęśliwszym, niż ludzki tam w górze.

— A więc ja umrę i jako piana popłynę z morzem, nie usłyszę więcej muzyki fal i nie ujrzę pięknych kwiatów i czerwonego słońca! Czyż już nic na to poradzić nie można, ażeby uzyskać nieśmiertelną duszę?

— Nie — odrzekła stara — chyba jaki człowiek pokocha cię bardzo, pokocha tak silnie, że zastąpi ci ojca i matkę, że całą siłą swych myśli utonie w miłości dla ciebie, i kiedy ksiądz jego prawą rękę włoży w twoją, z żądaniem wierności tutaj i na całą wieczność, wtedy mogłaby jego dusza spłynąć w twoje ciało i dać ci udział w szczęściu ludzi. On dałby ci duszę i zatrzymałby własną. Lecz to się nigdy stać nie może! Twój ogon rybi, uchodzący tutaj na dnie morza za piękny i wspaniały, jest wstrętnym dla ludzi. Jestto, co prawda, pozbawione rozsądku — dla nich tam trzeba, aby być pięknym, mieć dwa niezdarne słupy, które się nazywają nogami.

Syrenka westchnęła i ze smutkiem spojrzała na swój rybi ogon.

— Nie smućmy się jednak — zawołała stara — skaczymy, igrajmy i używajmy dozwolonych nam 300 lat, a jestto dość długo, aby potem z tem mniejszą troską zapragnąć spoczynku. Dzisiaj wieczorem urządzamy bal dworski.

Była to uroczystość, jakiej nie widuje się nigdy na ziemi. Ściany i dach sali balowej sporządzone były z grubego wprawdzie, ale przezroczystego szkła, setki olbrzymich konch muszlowych, różowych i zielonych stały szeregami po każdej stronie. Paliły się w nich błękitne światła, oświetlające całą salę i przeciskające się nawet przez przezroczyste ściany pałacu, tak, że cała przestrzeń w około tonęła w blaskach światła. Można było wtedy widzieć niezliczoną ilość ryb dużych i małych, podpływających do szklanego muru. Jedne z nich miały łuskę czerwoną jak purpura, inne świeciły jak złoto, lub srebro.

Przez środek sali płynął szeroki, łagodnie szemrzący strumień a na nim tańczyli mężowie morza i syreny w takt swoich własnych słodkich pieśni. Tak pięknych głosów nie mają ludzie na ziemi. Najmłodsza księżniczka śpiewała piękniej od innych, a kiedy wynagradzano ją oklaskami, na chwilę radość czuła w swem sercu, wiedząc, że ma piękniejszy głos nad wszystkich na ziemi i w morzu. Ale zaraz potem powracała jej pamięć o świecie. Nie mogła zapomnieć o pięknym księciu, ani o bólu swoim, że nie może, jak on, posiadać duszy nieśmiertelnej. Wyśliznęła się więc z zamku swojego ojca i podczas gdy tam śpiewano i bawiono się, zasiadła smutna w swoim ogródku. Nagle usłyszała dźwięk myśliwskiego rogu, spływający aż ku niej. Pomyślała więc: — oto teraz żegluje tam on, którego silniej kocham, niż ojca i matkę, on, który porwał wszystkie moje myśli i w ręce którego tak chętnie złożyłabym szczęście mojego życia! Na wszystko się odważę za cenę uzyskania duszy nieśmiertelnej! Podczas gdy siostry tańczą w zamku ojca, pójdę do wróżki morza. Dotychczas czułam przed nią obawę, lecz może ona znajdzie dla mnie radę i pomoc.

Mówiąc to, wybiegła księżniczka ze swego ogródka i pośpieszyła do szumiącego wiru, za którym wróżka mieszkała. Drogi tej nie odbywała jeszcze nigdy dotąd; nie było tam kwiatów, ani nawet wikliny — nie, tylko szary, nagi grunt piaszczysty ciągnął się aż do wiru, w którym spieniona woda huczała jak w młynie i wszystko co pochwyciła, pociągała w przepaść wraz z sobą. Przez środek tego właśnie, wszystko niszczącego wiru, przebrnąć musiała, aby się dostać do państwa wróżki.

Dalej znówuż, na całej długiej przestrzeni, nie było innej drogi, jak ciepły, uginający się szlam, który czarownica nazywała swoją bramą fortową.

Za ową bramą fortową wznosił się dom w pośrodku dziwnego lasu. Wszystkie drzewa i krzaki były to polipy, w połowie zwierzęta, w połowie rośliny. Wyglądały one jak stugłowe

węże, wyrastające z ziemi; wszystkie gałęzie miały długie, błotniste ramiona, z palcami podobnymi do gibkich robaków, tak, że członek za członkiem poruszał się oddzielnie od korzenia do wierzchołka. Wszystko, co uchwycić mogły na dnie morza, oplatały nigdy nierozzerwalnym uściskiem. Mała księżniczka, przerażona, zatrzymała się przed tym lasem; serce jej uderzyło trwożliwie; miała już ochotę zawrócić, na myśl jednak o księciu i o możliwości pozyskania nieśmiertelnej duszy, zebrała znów całą odwagę. Umocowała silnie przy głowie swoje długie, swobodnie na plecy spływające warkocze, ażeby polipy nie mogły ich pochwycić, skrzyżowała obie ręce na piersiach i rzuciła się naprzód, jak ryba, po przez odporne polipy, wyciągające ku niej swoje wijące się ramiona i palce. Zauważyła, że każdy z nich, uchwyciwszy jakiś przedmiot, oplątuje go tysiącami ramion i trzyma jak w żelaznych kleszczach. Ludzie, którzy utonawszy dostali się tutaj, sterczeli w ich ujęciu już jako białe tylko kościotrupy. Ujrzała tam także szczątki okrętów i szkielety zwierząt ziemskich a dalej, co ją najbardziej przeraziło, trupa, uduszonej przez polipy syreny.

W ten sposób dostała się do ogromnej, zewsząd błotem oblepionej polany w lesie. Wiły się tam olbrzymie, tłuste węże morskie, pokazując swoje obrzydliwe białe-żółte brzuchy. W pośrodku tej polany wznosił się dom pobudowany z białych kości ludzkich, pochodzących z rozbitych okrętów; w nim to mieszkała czarownica morza, karmiąca z ust krety, jak ludzie kanarki.

Obrzydliwe tłuste węże morskie nazywała swojemi, kochanemi piskletami, pozwalając im tarzać się po swoich gąbczastych piersiach.

— Wiem już czego żadasz! — zawołała czarownica — jest to dość głupie! Pomimo to stanie się, jak pragniesz, moja piękna księżniczko, ostrzegam tylko, że ci to przyniesie nieszczęście. Pozbędziesz się swojego rybiego ogona, w zamian zaś za to otrzymasz dwa słupki, używane przez ludzi do chodzenia, aby młody księżę mógł się w tobie zakochać, a ty, abyś mogła pozyskać duszę nieśmiertelną.

Poczem stara czarownica zaśmiała się tak głośno i przeraźliwie, że krety i węże pospadały na ziemię i poczęły się tarzać.

— Nie mogłaś natrafić na lepszą chwilę. Jutro, wraz ze wschodem słońca nie mogłabym ci już dopomóc, aż chyba dopiero znów po upływie całego roku. A teraz zgotuję ci napój, przed wschodem słońca popłyniesz z nim na ląd, usiądziesz na brzegu i tam go wypijesz. Wtedy twój ogon przybierze kształt tego, co ludzie pięknymi nogami nazywają, uprzedzam tylko, że to ból sprawia, jak gdyby kto piersi twoje mieczem przeszywał. Kto cię tylko ujrzy, będzie opowiadał, że jesteś najpiękniejszym dziecięciem ludzkim, jakie kiedykolwiek oglądał. Zatrzymasz twój lekki chód i żadna tancerka nie będzie tak powiewną jak ty; ale każdy krok uczyniony przez siebie sprawi ci ból, jak gdybyś po ostrzach nożów stąpała. Jeżeli to wszystko zdołasz przetrzymać, ja z chęcią ofiaruję ci pomoc swoją.

— Tak — rzekła syrenka drżącym głosem, myśląc o księciu i o duszy nieśmiertelnej.

— Zapamiętaj sobie tylko dobrze — ciągnęła dalej stara czarownica — że przyjąwszy raz ludzką postać, nie będziesz mogła już nigdy potem stać się nanowo syreną! Nigdy już potem nie będziesz mogła zstąpić przez głębiny wodne do zamku ojca twojego i do sióstr twoich, a jeżeli nie uzyskasz miłości księcia, wśród której, zatopiony w tobie tylko, całą mocą swej duszy, zapomni o ojcu i matce — i jeżeli potem nie poleci księdzu połączyć wasze ręce, abyście byli mężem i żoną, to wtedy nie posiędziesz nieśmiertelnej duszy! Pierwszego poranka po jego ożenieniu się z drugą, pęknie ci serce i obrócisz się w pianę wodną.

— Jestem zdecydowaną! — rzekła syrenka jak śmierć blada.

— Musisz mi jednak zapłacić za to — rzekła czarownica — a moje żądania nie są skromne bynajmniej. Posiadasz głos tak piękny, jak nikt tutaj w otchłani morza. Głosem tym spodziewasz się go oczarować, dla tego też właśnie oddać mi go musisz. Najlepsze, co posiadasz, żądam za

mój kosztowny napój! Aby go sporządzić, muszę ofiarować moją krew własną, aby napój był ostry, jak miecz obosieczny!

— Skoro mi jednak głos zabierzesz — rzekła syrenka — to cóż mnie wtedy pozostanie?

— Twoja cudna postać — odparła czarownica — twój powiewny chód i twoje wymowne oczy, których jedno spojrzenie wystarczy, aby ogłupić serca człowieka. Jakto, czyż miałabyś stracić odwagę? — Wyciągnij języczek, utnę ci go za moje trudy, a wtedy otrzymasz cudotwórczy napój.

— Niechajże się stanie! — zawołała syrenka, a tymczasem czarownica zaprzątnęła się około kotła, w którym miał się napój zgotować.

— Czystość jest połową duszy! — zawołała i oczyściła kociel powiązanymi w węzeł wężami. Rozdrapała potem swoją własną pierś i wpuściła do kotła kilka kropel swojej czarnej krwi. Wybuchająca z niego para wytworzyła takie straszne postaci, że aż lęk ogarniał. Co chwila wkładała czarownica coś nowego do kotła, a kiedy już się wszystko dobrze zagotowało, dał się słyszeć jęk, podobny do kwilenia krokodyla. Nareszcie napój był gotów. Miał on pozór najczystszej wody.

— Otóż go masz! — rzekła czarownica i ucięła syrence język. Stała się więc niemą i nie mogła już ani śpiewać, ani mówić.

— Gdyby cię polipy miały pochwycić, kiedy będziesz wracała przez mój las — rzekła czarownica — to skrop je tylko kilkoma kroplami napoju, a ich ramiona i palce rozprysną się na tysiące cząstek!

Okazało się to jednak zbyt cieniem, gdyż polipy z trwogą cofnęły się przed nią, ujrawszy w jej ręku ów napój, świecący jak gwiazda. W ten sposób przedostała się przez las, torfowisko i wir.

Ujrzała nareszcie zamek swojego ojca; pochodnie w sali balowej były już pogaszone; zapewne wszyscy tam spali, pomimo to nie odważyła się wynurzyć, szczególnie teraz, kiedy była niemą, co ją nazawsze od nich oddzieliło. Zdawało się jej wtedy, że jej serce pęknie z wielkiego żalu. Wśliznęła się do ogrodu, zerwała po kwiatku z nad łóżka każdej z sióstr, posłała palcami tysiące pocałunków w stronę zamku i uniosła się po nad ciemno błękitne morze.

Słońce jeszcze nie zeszło, kiedy spostrzegła zamek księcia i wstąpiła na pyszne marmurowe wschody. Księżyc rozsiewał precudne blaski.

Syrenka wychyliła pałacy, ostry napój i nagle uczuła, jak ostry ból przeniknął delikatne jej ciało. Straciła przytomność i osunęła się bezwładnie na podłogę. Kiedy słońce wyjrzało z za morza ocuciła się w poczuciu nowego gwałtownego bólu, ale tuż obok niej stał piękny młody książę, obejmując ją ogniem swoich ciemnych źrenic, tak, że oczy opuścić musiała, przyczem zauważyła, że jej rybi ogon zniknął, w zamian zaś za to miała dwoje ślicznych, białutkich nóżek, tak pięknych, jakie tylko piękna dziewczyna mieć może. Że zaś była zupełnie naga, musiała się osłonić swoim bujnym, długim włosiem. Książę zapytał, kim by była i z kąd się tu wzięła, lecz ona w milczeniu wzniosła tylko swoje słodkie, a smutne oczy ku niemu, ponieważ przemówić nie była w stanie. Wtedy on ujął ją za rękę i uprowadził do zamku. Każdy postawiony krok, jak to czarownica przepowiedziała, dawał jej bolesne wrażenie, że stąpa po ostrych igłach i nożach, lecz ona znosiła to chętnie. Z ręką złożoną w dłoni księcia wstępowała lekko po marmurowych wschodach i równie on, jako też wszyscy inni podziwiali jej zgrabny, powiewny chód. Doręczono jej kosztowne szaty z jedwabiu i gazy i była najpiękniejszą w całym zamku, ale niestety była niemą i nie mogła ani śpiewać, ani mówić. Piękne niewolnice, przybrane w jedwab i złoto, otoczyły ją, śpiewając przed księciem i jego rodzicami piękne pieśni. Jedna z nich śpiewała milej, niż inne, książę uderzył brawo i obdarzył ją uśmiechem. Wtedy syrenka zasmuciła się bardzo, wspomniawszy, że ona jeszcze piękniej kiedyś śpiewała.

— O — pomyślała — gdybyż wiedział przynajmniej, że ja, aby tylko być przy nim, oddałam mój głos na zawsze.

Następnie, w takt cudnej muzyki, wykonały niewolnice kilka pięknych tańców; wtedy syrenka wzniosła swoje piękne, białe ramiona, ustawiła się na koniuszkach palców i wionęła po gładkiej posadzce w czarownym tańcu zwinna i powiewna, jak zjawisko. Przy każdym poruszeniu uwydatniały się coraz to nowe piękności jej kształtów, a cudne jej oczy przemawiały do serca goręcej i głębiej, niż śpiew niewolnic.

Wszyscy byli oczarowani, w szczególności zaś księżę, który księżniczkę nazywał swoją znajdą — a ona tańczyła niezmordowanie, nie bacząc na to, że każdy krok przyprawiał ją o niewysłowiony ból. Księżę zapowiedział, że odtąd musi już zawsze przy nim pozostać, wskutek czego otrzymała nawet pozwolenie sypiać na aksamitnej sofce przed drzwiami jego sypialni.

Kazał jej potem sporządzić męskie suknie, ażeby mogła towarzyszyć mu w konnych przejażdżkach.

Jeździli więc do pachnącego lasu; zielone gałązki muskały ich po plecach a z poza świeżych listków dźwięczały śpiewy ptaszków.

Wspinała się z księciem na wysokie góry, a chociaż na jej pięknych nóżkach nieraz krew pokazywała się, ona śmiała się z tego, wspinając się coraz wyżej i wyżej, aż ponad granicę chmur, płynących wtedy u jej stóp, jak stada ptaków, dążących w obce kraje.

Przebywając w zamku księcia, wychodziła wśród nocy, kiedy wszyscy spali, na szerokie marmurowe wschody i chłodziła w zimnej wodzie pałające nóżki, oddając się przytem rozmyślaniom i wspomnieniom o swoich blizkich, przebywających w głębiach morza.

Pewnej nocy, ręka w rękę, przybyły jej siostry; pływając po morzu, śpiewały one tęskne pieśni. Księżniczka zwabiła je do siebie, a te, poznawszy utraconą, poczęły jej opowiadać, jak głęboko dotknęła wszystkich jej uciezka. Odtąd odwiedzały ją każdej nocy, a nawet pewnego wieczora ujrzała w oddali starą babkę, która już od wielu lat nie pokazywała się na powierzchni, i króla morza w swojej złocistej koronie na głowie! Wyciągali oni ku niej swe ręce, nie odważyli się jednak podpłynąć do lądu, tak blisko, jak siostry.

Tymczasem młody księżę przywiązywał się do niej z każdym dniem coraz silniej. Kochał ją, jak wogóle kochać można dobrą, piękną dziewczeczkę — na chwilę jednak nie przyszło mu na myśl zrobić z niej królowę — a jednak musiała być przecież jego żoną, gdyż inaczej nie mogła otrzymać nieśmiertelnej duszy i nazajutrz po jego ślubie musiałaby zamienić się w morską pianę.

— Czyż nie kochasz mnie bardziej, niż inne? — zdawały się mówić oczy małej księżniczki, kiedy czasem księżę brał ją w ramiona i całował jej czoło.

— Tak, jesteś dla mnie najmiłszą — odpowiadał księżę — ponieważ masz serce lepsze, niż inne, jesteś mi najbardziej oddaną i zdajesz się być podobną do młodej dziewczyny, którą już raz widziałem, a której zapewne już nigdy nie odnajdę. Znajdowałem się na okręcie, który uległ rozbiciu; fale przyniosły mnie do brzegu w pobliżu pewnej świątyni, w której kilka młodych dziewic spełniało posługi. Najmłodsza z nich odnalazła mnie wtedy na piasku i uratowała mi życie — widziałem ją tylko dwa razy. Jestto jedyna dziewczyna, którą na tym świecie zdołałbym pokochać, a ty tak jesteś do niej podobną, że utrwalasz jej obraz w mej duszy. Należy ona do świętego klasztoru i dlatego moje dobre szczęście przysłało mi ciebie — odtąd nie rozłączymy się już nigdy!

— Ach, on nie wie o tem, że to ja mu życie uratowałam! — pomyślała mała księżniczka — przeniosłam go przez morze aż do owego lasu, gdzie stała świątynia, schowałam się w pianę i patrzyłam, czy się kto nie przybliży. Wtedy ujrzałam piękną dziewczynę, którą on kocha

bardziej niż mnie!

Syrenka westchnęła tylko głęboko, gdyż płakać nie umiała. „Dziewczyna należy do świętego klasztoru” powiedział — nie może więc powrócić do świata, nie spotkają się z sobą już nigdy, a więc ja pozostanę przy nim, będę go pielęgnować i kochać i złożę mu moje życie w ofierze!

Przyszędł jednak na księcia czas ożenienia się. Miał on pojąć za żonę córkę sąsiedniego króla, poczęto więc urządzać na okręcie odpowiednie przygotowania. Nazywało się to wprawdzie, że książe odjeżdża zwiedzać tylko kraje sąsiedniego króla, podróż jednak miała na celu, aby młodzi mieli sposobność poznania się. W podróży miała mu towarzyszyć wspaniała świta. Syrenka potrząsnęła główką i zaśmiała się. Przenikała ona głębiej myśli księcia, niż wszyscy inni.

— Muszę wyjechać — powiedział do niej — muszę się przyjrzeć pięknej księżniczce; żądają tego rodzice, nie zmuszają mnie jednak bynajmniej, abym powrócił, jako narzeczony. Kochać jej nie mogę! Nie przypomina ona zupełnie dziewczycy z klasztoru, do której ty jesteś podobną. Gdybym kiedykolwiek wybierał narzeczoną, mój wybór padłby na ciebie, moja niema znajdko z wymownymi oczyma! — Poczem pocałował ją w czoło i w różowe usta, pieścił jej długie włosy i złożył jej główkę na swoim sercu, tak, że żywiej jeszcze poczęła marzyć o szczęściu ludzkim i o nieśmiertelnej duszy.

— Ty się przecież nie obawiasz morza, ty niema dziecino? — zapytał książe, kiedy pewnego razu stali na pokładzie okrętu, który miał go powieźć do krajów sąsiedniego króla, i opowiadał jej o burzach i o ciszy morskiej, o dziwnych rybach, żyjących tam w głębiach i o wszystkim, co widywali nurkowie, a ona z uśmiechem słuchała tej opowieści, nikt bowiem tak dobrze, jak ona, nie znał tajemnic morskiej otchłani.

Wśród jasnej księżycowej nocy, kiedy, z wyjątkiem sternika, wszyscy już posnęli, usiadła na brzegu okrętu i wpatrzyła się w wodę. Zdawało jej się wtedy, że widzi zamek swojego ojca. Na najwyższej wieży stała stara babka w srebrnej koronie na głowie, wpatrzona uporczywie po przez rwące prądy w kontury kołyszącego się nad jej głową okrętu.

Wtem wynurzyły się z wody jej siostry i, łamiąc ręce, patrzyły na nią z boleścią.

Ona z uśmiechem skinęła ku nim, chcąc im oznajmić, że czuje się szczęśliwą, kiedy właśnie nadszedł któryś z majtków, należących do załogi. Siostry zanurzyły się szybko, majtek zaś sądził, że to coś białego, które widział przed chwilą, było tylko pianą morską.

Następnego dnia, okręt pożegłował do zatoki wspaniałej stolicy sąsiedniego króla. Uderzono we wszystkie dzwony kościołów, a z wysokich wież zabrzmiały hejnały. Na ulicach z rozwiniętymi sztandarami stało wojsko w paradnych strojach, błyskając bagnietami.

Każdy dzień obchodzono uroczyscie. Jedne po drugich następowały bale i zebrania, brakło tylko królowny, która wychowywała się w odległym klasztorze, ucząc się tam królewskich cnót i zalet. Nareszcie przybyła i ona.

Syrenkę paliła ciekawość zobaczyć ją i musiała przyznać, że nie widziała jeszcze tak pięknej postaci. Skóra jej była delikatną i przezroczystą, a z po za długich ciemnych rzęs uśmiechało się dwoje ciemnobłękitnych, poczciwych oczu.

— Ty nią jesteś! — zawołał książe uradowany — ty, która mi życie uratowałaś, kiedy na pół żywy leżałem na wybrzeżu — i całą spłonioną ujął w ramiona, jako narzeczoną.

— Jakże jestem szczęśliwy! — rzekł do syrenki. — Najlepsze, czego nie spodziewałem się osiągnąć, spełniło się oto. Ciebie ucieszy moje szczęście, ponieważ mnie kochasz bardziej, niż inni.

Syrenka pocałowała go w rękę, czując, że jej serce chce pęknąć z żalu. Dzień weselny



księcia miał jej wszak przynieść śmierć i obrócić ją w pianę morską.

Zabrzmiały wszystkie dzwony kościelne a heroldzi jeździli po mieście, zwiastując o zaręczynach. Na wszystkich ołtarzach palono pachnącą oliwę w srebrnych lampach. Księża dymili kadzielnicami, a narzeczony i narzeczona, podawszy sobie ręce, przyjmowali błogosławieństwo od biskupa. Syrenka, strojna w jedwab i złoto, trzymała ogon narzeczonej, nie słyszała jednak muzyki i nie widziała świętych ceremonii — myślała tylko o swojej śmierci i o tem wszystkim, co tutaj na świecie straciła.

Jeszcze tego samego wieczora narzeczony i narzeczona wstąpili na pokład okrętu. Zagrzmiały działa, sztandary wiewały, wpośrodku zaś okrętu sporządzono ze złota i purpury wspaniały namiot królewski, w którym młoda para podczas cichej chłodnej nocy miała znaleźć spoczynek.

Wiatr uderzył w żagle i okręt, kołysząc się lekko, pomknął na pełne morze.

Z nadchodzącym zmrokiem zapalono kolorowe latarnie, a przy ich blasku rozpoczęli żeglarze wesołe tańce. Mała księżniczka morska przypomniała sobie wtedy ów wieczór, w którym po raz pierwszy wynurzyła się z wody i taką samą widziała uciechę i uroczystość, teraz zaś wirowała w tańcu, lekka i zwinna, jak ścigana jaskółka, wywołując naokół okrzyki zachwytu i podziwienia. Każdy krok przynosił jej wrażenie, że stąpa po ostrzach nożów, nie czuła jednak tego, gdyż jeszcze silniejszy ból ścisnął jej serce. Wiedziała, że jestto ostatni wieczór, w którym widziała tego, dla którego poświęciła ojczyznę i przyjaciół, oddała swój wspaniały głos i każdodziennie tyle cierpienia ponosiła, nie mając nawet pociechy, że on to wszystko przeczuwa. Była to ostatnia noc, w której oddychała tem samym, co on powietrzem, widziała głębiny morskie i gwiazdziste niebo. Czekala ją wieczna noc bez myśli i snów, ponieważ nie posiadała duszy i nigdy jej zdobyć nie mogła.

Na okręcie panowała tymczasem wesołość do późnej nocy; z uśmiechem na ustach tańczyła i ona z przeczuciem śmierci w swem sercu. Książę ucałował swoją narzeczoną, a ta bawiła się jego długimi czarnymi kędziorami; poczem, ujawszy się pod ręce, udali się na spoczynek do swego namiotu.

Na okręcie zapanowała cisza, tylko sternik siedział przy sterze; mała dziewica morska oparła swe ręce o bregg okrętu i wyteżyła wzrok na wschód ku jutrzence. Pierwszy promień słoneczny miał być zwiastunem jej śmierci. Wtem ujrzała siostry, wyłaniające się z morza — były one bardzo blade, a wiatr już nie rozwiewał ich długich pięknych włosów.

Włosy miały obcięte.

— Dałyśmy je czarownicy — mówiły — aby przyniosła ci pomoc i abyś nie umarła tej nocy! Dała nam ten oto sztylet — czy widzisz, jaki ostry? Zanim jeszcze słońce się ukaze, musisz go wbić w serce księcia, a kiedy jego gorąca krew spryska twoje nogi, wtedy zamienią się one w rybi ogon — staniesz się znowu syreną, powrócisz do nas do morza i będziesz mogła żyć jeszcze 300 lat, zanim się obrócisz w słoną szumowinę wodną. Śpiesznie więc, śpiesznie do dzieła! Zanim słońce wejdzie, jedno z was musi umrzeć koniecznie. Nasza stara babka w takiej jest pogrążona boleści, że jej białe włosy powypadały, tak jak nasze znów padły pod nożem czarownicy. Zabij księcia i wracaj do nas. Pośpiesz się, czy widzisz te czerwone smugi na niebie? Za kilka minut ukaze się słońce a wtedy zginięsz nieodwołalnie.

Mówiąc to, wydały szczególne, głębokie westchnienie i skryły się pod falą.

Mała księżniczka morska odrzuciła purpurową portyerę namiotu i ujrzała piękną narzeczoną, spoczywającą we śnie, z głową opartą na piersiach księcia. Pochyliła się i, złożwszy pocałunek na jego pięknem czole, spojrzala ku niebu, z kąd coraz jaskrawsze wydobywały się blaski.

Ujęła silniej rękojęść sztyletu i zatopiła znów swój wzrok w obliczu księcia, który przez

sen wzywał imienia swej narzeczonej, gdyż tylko ona żyła w jego myślach.

Sztylet zadrzał w rękę morskiej dziewicy — lecz nagle gwałtownym ruchem odrzuciła go daleko na fale a miejsce, gdzie upadł, zabłysło krwawą plamą — wyglądało to tak, jakgdyby krople krwi wytrysnęły z wody. Jeszcze raz spojrzała na księcia zamglonym wzrokiem i — rzuciła się w morze. Zarazem uczuła, jak jej ciało zamienia się w pianę.

Zaraz potem ukazało się słońce, a jego ciepłe, łagodne promienie padły na śmiertelnie zimną morską pianę. Wodna księżniczka nie uczuła wcale wrażenia śmierci. Ujrzała słońce a tuż nad niem unoszące się tysiące przezroczych, cudnych postaci — na wskroś przez nie mogła widzieć białe żagle okrętu i czerwone chmury na niebie. Ich głos był dźwięcznym, jak śpiew syren, ale tak duchowy, że żadne ludzkie ucho nie mogło go podchwycić, równie, jak żadne ziemskie oko nie mogło dostrzedz ich boskich postaci. Bez pomocy skrzydeł unosiły się lekko w eterze.

Syrenka spostrzegła, że ma ciało podobne jak one, które wyżej i wyżej wyrastało z piany.

— Do kogo przyszedłam? — zapytała — a głos jej był tak dźwięcznym, jak u tamtych istot, i tak duchowym, że żadna muzyka ziemska nie byłaby w stanie oddać jego brzmienia.

— Do powietrznych córek — odpowiedziały tamte. — Syrena nie posiada nieśmiertelnej duszy i nie może jej nigdy otrzymać, jeżeli jej się nie udało pozyskać miłości człowieka! Ich wieczne istnienie zależy od nieznannej siły. Córki powietrza nie posiadają również nieśmiertelnej duszy, lecz za pomocą dobrych uczynków mogą ją otrzymać. Odlatujemy do ciepłych krajów, gdzie zabójcze tchnienie zaraźliwego powietrza ludziom śmierć przynosi. Niesiemy tam ochłodzenie, nasycamy powietrze zapachem kwiatów i sprowadzamy ulgę i wyzdrowienie. Po trzystu latach naszych wysiłków czynienia dobrze o ile sił stało, otrzymujemy nieśmiertelną duszę i bierzemy udział w pozaświatowym szczęściu ludzi.

— Ty, biedna syrenko, która całą mocą serca dążyłaś do tego samego, co i my celu, znosiłaś boleść i cierpienie, wzniosłaś się teraz do świata powietrznych duchów i możesz teraz sama, po 300 latach dobrych uczynków, wywalczyć sobie nieśmiertelną duszę.

Mała dziewczyna morska wzniosła ku cudnemu słońcu swoje świetlane ramiona i po raz pierwszy poczuła łzy w oczach.

Tymczasem na okręcie zapanowały znowu ruch i życie.

Ujrzała, jak księżę i jego piękna narzeczonea poszukiwali jej, wpatrując się z boleścią w pieniające się fale, jakgdyby przeczuwając, że tam właśnie śmierć znaleźć musiała. Niewidzialna — spojrzała z uśmiechem na księcia, złożyła pocałunek na czole narzeczonej i wraz z innymi dziećmi powietrza wzniosła się ku różowym chmurom.

— Dopiero po 300 latach wzniesiemy się do królestwa Boga!

— Nawet wcześniej możemy się tam dostać — wyszeptał jeden z duchów. — Niewidzialne, będziemy się wślizgiwały do domów ludzi a ilekroć uda nam się tam odnaleźć dobre dziecko, zasługujące na miłość swoich rodziców, dobry Bóg o jeden dzień będzie nam skracał czas naszej próby. Dziecię nie dowie się nawet, kiedy znajdziemy się w pokoju, a kiedy z radością uśmiechniemy się do któregoś, owe 300 lat zmniejszą się zawsze o jeden dzień.

— Ujrzawszy niegrzeczne i niedobre dziecko, musimy ronić łzy żalu, a każda taka łza powiększy o jeden dzień czas naszej próby.

---

# CIEŃ.

W krajach gorących słońce inny sieje żar na ziemię, aniżeli u nas; ludzie stają się brunatni jak mahoń, ba! w krajach najgorętszych słońce wypala z nich murzynów.

Pewien uczony przesiedlił się z naszych krajów zimnych do tamtych okolic gorących i wyobrażał sobie, że tam można tak samo chodzić po ulicach w dzień, jak i w ojczyźnie naszej; oduczono go jednak tego wkrótce i zarówno on, jak i wszyscy ludzie rozumni, musieli pięknie pozostawać w pokoju. Przez cały dzień drzwi i okiennice musiały być zamknięte, miało to zaś taki pozór, jakgdyby dom cały spał, albo też jakgdyby nikogo nie było w domu. Wązka uliczka, przy której zamieszkał uczony, tak była przytem zabudowaną, że od rana do wieczora, spoczywały na niej żary słoneczne. Stawało się to istotnie nie do wytrzymania.

Ów człowiek uczony z innych krajów był młody, mądry, zdało mu się też, że siedzi w piecu ognistym. Ach! jakże to zdrowie niszczyło! schudł zupełnie, nawet cień jego zmalął i stał się mniejszy, aniżeli w domu, bo i on wynędzniał przez słońce. Dopiero wieczorem, gdy słońce zaszło ożywiał się i nasz uczony i cień jego. Wtedy to rozkosz była popatrzyć! Z chwilą wniesienia światła do pokoju, cień rozciągał się na całą ścianę, sięgał do sufitu, a nawet po części widny był na suficie samym. Umyślnie starał się wtedy być takim długim, musiał się bowiem wyciągnąć, ażeby znów przyjść trochę do sił. Uczony wchodził do altany, ażeby tam wyprężyć swoje członki, a gdy gwiazdy zaświeciły z eteru jasnego, nowe poczuwał w sobie życie.

We wszystkich altanach przy ulicy (w krajach gorących przy każdym oknie jest altana) ukazywali się wtedy ludzie, boć każdy potrzebuje powietrza, choćby nawet przyzwyczajony był do wyglądania jak mahoń. Życie wtedy ruszało się wszędzie, na parterach i na piętrach; szewcy i krawcy, wogóle wszyscy szukali wtedy powietrza na ulicy, stoły i krzesła wynoszono na dwór, światło paliło się wszędzie, przeszło tysiąc świec rozlewało światło, ten gawędził, ów śpiewał, inni się przechadzali, wozy jeździły po ulicy, chodziły muły i osły, wydając tony: „klinge ling — ling”, (w tych stronach bowiem noszą one dzwonki). Przy odgłosie śpiewu, chowano wtedy trupy, ulicznicy hałasowali; dzwony kościelne rozbrzmiewały wokoło, słowem panował ruch i wrzało życie na ulicy.

W jednym tylko domu, położonym wprost mieszkania obcokrajowego uczonego, cisza panowała zupełna, a przecież musiał tam ktoś mieszkać, w altanie bowiem stały kwiaty, które w słońcu rozwijały się wspaniale, czego nie mogły by czynić bez polewania, a znów do polewania był ktoś koniecznie potrzebny. Musieli tam zatem być ludzie. Drzwi przeciwległe otwierały się wprawdzie również każdego wieczoru, ale wewnątrz panowała ciemność, przynajmniej w pokojach od ulicy, z głębi zaś rozbrzmiewały dźwięki muzyki. Uczonemu cudzoziemcowi wydała się ta muzyka niezrównanie piękną, ale łatwo być mogło, że w pomoc przychodziła tutaj własna wyobraźnia, tam bowiem, w tych krajach gorących wszystko znajdował niezrównanem. Gdybyż jeszcze nie było tego słońca przebrzydłego. Gospodarz, u którego mieszkał uczony, mówił, że nie wie, kto wynajął dom przeciwległy, co zaś do muzyki, to znajdował ją przeraźliwie nudną. Robiła ona, jego zdaniem, takie wrażenie, jak gdyby ktoś ustawicznie ćwiczył się w wykonywaniu jednej i tej samej sztuczki, która dla niego jest zbyt trudną i z którą nie może się uporać.

— A jednak się uporam! — mówi sobie wtedy, ale nie może tego dokonać, choćby grał jaknajdłużej.

Pewnej nocy zbudził się cudzoziemiec: spał on przy otwartych drzwiach do altany, której zasłona poruszała się od wiatru, i wydawało mu się, że z altany przeciwległej rozlewa się blask cudowny. Wszystkie kwiaty migotały kolorami najwspanialszemi, a pomiędzy kwiatami stała wysmukła dziewczica miłej postaci. Zdawało mu się, że ona również błyszczy zdaleka. Oczy jego olśnił prawdziwie ten widok. I nic w tem dziwnego, zerwał się bowiem zbyt raptownie ze snu. Jednym susem znalazł się na podłodze, po cichutku podszedł do zasłony, ale dziewczica zniknęła

i blask cały zniknął. Kwiaty nie migotały już, stały jednakże przed oknami w całej swej dawnej piękności. Drzwi były tylko przymknięte i daleko z głębi domu dochodziła łagodna i miła muzyka, zdolna każdego usposobić do marzeń najślıodszych. Było jednakże w tem coś czarodziejskiego! Kto tam może mieszkać i gdzie są drzwi wejściowe? Na parterze był sklep przy sklepie, tędy więc niepodobieństwem było, ażeby ludzie ciągle mogli przechodzić.

Pewnego wieczoru siedział cudzoziemiec na powietrzu w altanie swojej, a za nim, w pokoju paliło się światło, rzeczą więc było zupełnie naturalną, że cień odbijał się na ścianie domu przeciwnego. Siedział zatem on sam, cudzoziemiec, pomiędzy kwiatami w tamtej altanie, a ile razy w swojej altanie się poruszył, zawsze poruszał się także i cień z przeciwka.

Cień zwykle tak czyni.

— Zdaje mi się, że cień mój jest jedyną istotą żywą, którą można zauważyć w tamtym domu — rzekł uczoney — proszę popatrzeć jak on zgrabnie siedzi pomiędzy kwiatami. Drzwi są tylko przymknięte, teraz zatem cień powinien być taki sprytny i wejść do środka, rozejrzeć się we wnętrzu i po powrocie swoim opowiedzieć mi wszystko, co ujrzał w tym domu. Mój cieniu! — rzekł dalej żartem — obowiązkiem twoim jest zawsze działać — i zaczął kiwać na cień, który na każde kiwnięcie odpowiadał mu także kiwnięciem, — Idź przyjacielu! Tylko mi się za długo nie zabawiaj!

Cudzoziemiec wstał, wyprostował się, i cień z przeciwległej altany, uczynił to samo: cudzoziemiec się obrócił i cień się obrócił, gdyby też ktoś dokładnie zwrócił uwagę, to mógłby się przekonać, że cień wszedł przez na pół otwarte drzwi altany przeciwnego domu właśnie w tej chwili, w której cudzoziemiec wkroczył do pokoju i zapuścił za sobą zasłonę.

Następnego poranku wyszedł uczoney na miasto, ażeby napić się kawy i przeczytać gazety, idąc zaś w słońcu mówił sam do siebie:

— Co to ma znaczyć, że niema przy mnie cienia? Pokazuje się, że istotnie, wczoraj wieczorem odszedł odemnie i nie wrócił; naprawdę gniewać to może człowieka!

Nie sama tylko utrata cienia przejmowała go gniewem, ale jeszcze i ta okoliczność, że w zimnych krajach, z których pochodził, wszystkim znana jest historia „o człowieku, niemającym cienia własnego.”

Gdyby zatem nasz uczoney powrócił do ojczyzny i opowiedział swoją przygodę, wszyscy uważaliby tę rzecz za naśladownictwo, co bardzo mu się nie podobało. Postanowił przeto nic o tem nie mówić, i przyznać należy, że to było najmędrsze ze wszystkiego, co mógł zrobić.

Wieczorem wyszedł znów do altany swojej, światło zupełnie prawidłowo postawił za sobą, wiedział bowiem, że cień zawsze pana swojego uważa za tarczę, tym razem nie mógł go jednak wywabić. Kurczył się, wyciągał, udawał małego, to znów wysokiego, ale cień się nie ukazał. Jak go nie było, tak nie było. Rzekł sobie tedy:

— Hm — hm!

Ale to wszystko nie pomagało.

Niewątpliwie mogło to gniewać, ale że w krajach gorących, Bogu dzięki! wszystko rośnie szybko, więc też po upływie ośmiu dni, spostrzegł uczoney, gdy wyszedł na słońce, ku wielkiemu zadowoleniu swojemu, że z pod nóg wyrasta mu cień nowy. Korzeń tego cienia musiał widocznie pozostać jeszcze w ziemi. Po trzech tygodniach posiadał już przy sobie cień wcale poważny, który w drodze powrotnej do zimnych krajów, rósł coraz więcej, aż w końcu taki był długi i duży, że połowa byłaby zupełnie wystarczającą.

Tak tedy uczoney powrócił do domu, pisał książki o prawdzie na świecie, o dobru i pięknie. Mijały dni i lata, upłynęło nawet lat wiele.

Pewnego wieczoru siedzi sobie w pokoju swoim, gdy ktoś nagle lekko zapukał do drzwi.

— Proszę wejść! — rzekł, ale nikt nie wszedł, sam przeto drzwi otworzył i ujrzał, że przed nim stoi niezwykle chudy człowiek, który dziwne od razu uczynił wrażenie. Ubrany był bardzo elegancko, musiał to zatem być człowiek dystyngowany.

— Z kimże mam przyjemność — zapytał uczony.

— Od razu się domyśliłem, że mnie pan nie poznasz — odparł człowiek dystyngowany. — Kształty moje się zaokrągliły, posiadam teraz naprawdę ciało i kości. Nieprzypuszczałeś pan chyba nigdy, że ujrzysz mnie w takim dobrobycie. Czy pan istotnie nie poznajesz dawnego cienia twego? Widocznie nieprzypuszczał pan, ażebym znów mógł się pojawić. Od czasu ostatniego pobytu mojego u pana działa mi się bardzo dobrze, pod każdym względem stałem się człowiekiem zamożnym, pragnąc się też wykupić z zależności, rozporządzam dziś dostatecznymi ku temu środkami.

To mówiąc, pobrzękiwał całą wiązką breloków kosztownych, zwieszających się u zegarka, rękę zaś założył o gruby łańcuch złoty, który nosił na szyi; u wszystkich palców błyszcząły pierścienie brylantowe. I wszystkie były prawdziwe!

— Rzeczywiście, że nie mogę jeszcze przyjść do siebie — rzekł uczony — jestże to możliwe?

— Naturalnie, że nie przytrafia się nic podobnego codziennie — odrzekł Cień — ale bo też i pan sam nie należysz do ludzi, jakich się napotyka codziennie, ja zaś, jak to panu dobrze wiadomo, kroczyłem w ślady pańskie od lat dziecięcych. Od czasu, gdy uznałeś mnie pan za dojrzałego na tyle, ażebym mógł sam pójść w świat, obrałem sobie własną karierę. Stosunki moje są jaknajświeższe, ale opanowała mnie tęsknota swego rodzaju i chęć ujżenia pana choćby raz jeszcze przed śmiercią pańską, boć ostatecznie raz przecie umrzeć pan musisz! Pragnąłem również raz jeszcze ujrzeć te kraje, człowiek bowiem kocha zawsze ojczyznę swoją. Wiem, że pan otrzymałeś inny cień na moje miejsce, czy może jemu albo panu jestem coś za to dłużny? Proszę powiedzieć mi to otwarcie.

— Nie! istotnie! Czyż to możliwe, ażebyś to ty był w swojej własnej osobie! — zawołał uczony — To istotnie nadzwyczaj zastanawiające! Nigdybym nie przypuszczał, ażeby do kogoś mógł przyjść, jako człowiek, cień jego dawniejszy!

— Proszę mi powiedzieć, ile mam zapłacić — ponowił Cień — niechciałbym bowiem być kiedykolwiek dłużnym.

— Jakże ty możesz mówić w ten sposób! O długu żadnym nawet mowy tutaj być nie może. Używaj sobie wolności swojej, jak każdy inny; mnie cieszy niewymownie szczęście twoje. Siadaj, stary przyjacielu i opowiedz w krótkości, jak to się stało właściwie, i co widziałeś u sąsiada naszego w owych krajach gorących.

— Zrobię to chętnie — rzekł Cień, siadając — ale pod tym warunkiem, że nikomu tu w mieście, gdziekolwiek byś mnie spotkał, nie powiesz, iż byłem cieniem twoim. Mam bowiem zamiar się zaręczyc, posiadam zaś więcej, niż potrzeba, na utrzymanie rodziny.

— Bądź spokojny — zapewnił uczony — nie powiem nikomu, kim jesteś właściwie, oto moja ręka! Przrzekam ci, słowem człowieka honoru.

— Słowem *Cienia* honoru — poprawił Cień — inaczej mu bowiem nie wypadało mówić.

Rzeczywiście było to zadziwiające, jak ten cień stał się naprawdę człowiekiem. Odzienie nosił czarne, z najdelikatniejszego sukna, przytem obuty był w lakierki i kapelus, pozwalający się tak zgnieść w rękę, że widać było tylko brzeg i denko, nie mówiąc już wcale o znanych nam już brelokach, łańcuchu złotym na szyi i pierścieniach brylantowych. Tak jest! Cień nadzwyczajnie pięknie był ubrany i to właśnie nadawało mu cechy człowieka.

— Teraz zacznę opowiadanie — rzekł Cień, i nogami obutymi w lakierki, z całej siły przycisnął ramię nowego cienia gospodarza domu; cień zaś ten położył się, jak pudel, u nóg jego. Niewiadomo, czy uczynił to z pychy; czy też dla skrępowania nowego cienia. Ten nowy cień jednakże zachowywał się spokojnie i cicho, ażeby mógł podsłuchiwać dokładnie; prawdopodobnie i on chciał wiedzieć, w jaki to sposób można się wyzwolić z pęt i stać panem własnej woli.

— Czy wie pan, kto mieszkał naprzeciw domu naszego? — zapytał nareszcie Cień. — Mieszkało tam to, co najpiękniejsze: mieszkała poezya. Zabawiłem tam trzy tygodnie, a to oddziało tak skutecznie, jak gdyby człowiek przeżył trzy tysiące lat i przeczytał wszystkie utwory poetyckie i dzieła uczone. Mówię panu prawdę rzetelną! Wszystko widziałem i umiem wszystko.

— Poezja! — zawołał uczony — tak, tak, ona zwykle w wielkich miastach żyje jak pustelnica. Poezja! przez chwilę tylko ją widziałem, ale byłem wtedy śpiący! Stała ona wówczas w altanie i świeciła, jak zorza wieczorna. Mów dalej! Byłeś wtedy w altanie; wszedłeś przez drzwi niedomknięte do środka i wtedy...

— Wtedy znalazłem się w przedpokoju — mówił Cień dalej. Nie było tam światła, panował jakiś półmrok, ale pomimo to przez drzwi otwarte widać było, że liczne pokoje ciągną się tam jeden za drugim. W pokojach tych panowała jasność dzienna i gwałtowny snop światła byłby mnie niechybnie zabił, gdybym był postąpił bliżej ku dziewicy. Postąpiłem jednakże rozważnie, odłożyłem sobie to na później i zawsze tak należy czynić.

— I co ujrzałeś wtedy?

— Wszystko widziałem i wszystko opowiem panu, ale... nie jestto, broń Boże! dumą żadną z mej strony... ale... jednakże... jako człowiek wolny i przy nauce mojej, wobec stanowiska mojego, nie mówiąc już zupełnie o warunkach materyalnych... życzylibym sobie z serca, ażeby pan nie odzywał się do mnie „ty,” lecz „panie”.

— Proszę o przebaczenie! — zawołał uczony — to tylko stare, niewytępione jeszcze przyzwyczajenie, masz pan jednakże zupełną słuszość i na przyszłość będę zawsze myślał o tem. Opowiedzże mi pan teraz wszystko, coś widział.

— Opowiem wszystko, widziałem bowiem wszystko i znam wszystko.

— A więc, jaki miały wygląd salony wewnętrzne? — zapytał się uczony. Czy tam było tak samo, jak w młodym lesie? czy może jak w świątyni? czy salony wyglądały jak niebo usłane gwiazdami, i błyszczące jasno, gdy się staje na szczytach górskich?

— Wszystko tam było — odrzekł Cień — nie wszedłem jednak zupełnie do środka, zatrzymałem się w pierwszym pokoju w półcieniu, ale tam właśnie było mi wybornie, widziałem wszystko i znam wszystko. Byłem u dworu królowej poezyi, trzymałem się w jej przedpokoju.

— I cóż pan tam widziałeś? Czy przeciągały przez sale wszystkie bogi starożytności? czy walczyli tam dawni bohaterowie? czy bawiły się dzieci wesoło i opowiadały sny swoje?

— Powiadam panu, że byłem tam, więc łatwo może sobie pan wyobrazić, że widziałem wszystko, co tylko było godnego widzenia. Gdybyś pan był tam wszedł, przestałbyś być człowiekiem, gdy przeciwnie ja podniesiony zostałem do godności człowieka i równocześnie poznałem swoją wartość wewnętrzną. Dziś skoligaciłem się z poezją. Podówczas, gdy jeszcze byłem w służbie u pana, nie rozmyślałem wcale nadtem, chociaż, jak to sobie pan zapewne dobrze przypominasz, z chwilą wschodu i zachodu słońca, stawałem się osobliwie wielki, w świetle księżyca zaś odbijałem się wyraźniej nawet, aniżeli pan. Natury swojej nie znałem wtedy i dopiero w przedpokoju poezyi poznałem jej istotę: stałem się człowiekiem! Z jej domu wyszedłem mężem dojrzałym, ale wtedy nie było już pana w krajach gorących. Jako człowiek,

wstydzilem się chodzić po świecie w ten sposób jak dawniej; brakowało mi butów, ubrania i wogóle tego całego pokostu ludzkiego, który dopiero człowiekowi nadaje znaczenie właściwe. Szukałem sobie schronienia nad głową, powiem to nawet panu otwarcie, bo wiem, że o tajemnicy mojej nie napiszesz księgi, iż szukałem sobie tego schronienia w spódnicy pewnej kucharki i tam się też skryłem. Kobieta nawet nie miała pojęcia o tem, że człowieka wielkiego wzięła w swoją opiekę. Wyszedłem dopiero wieczorem, biegałem po ulicach w świetle księżyca, wyciągałem się jak długi na murze, bo to leżało przyjemnie mój grzbiet. Biegałem tak w jedną i drugą stronę, zaglądałem przez najwyżej położone okna do wnętrza sal, zaglądałem na dachy, słowem zaglądałem tam, gdzie niktby nic dojrzeć nie mógł i widziałem, czego nie widział nikt, czego nikomu widzieć nie wolno. Prawdą a Bogiem! ten świat nie jest dobry! nie chciałbym też być człowiekiem, gdyby nie to, że ogólnie uważają za istotę wyższą — człowieka. Najnieprawdopodobniejsze rzeczy widziałem u kobiet i mężczyzn, u rodziców i u tych słodkich dzieci, podobnych do aniołów; widziałem — mówił Cię dalej — czego żaden człowiek nie ma się dowiedzieć nigdy, a jednak o czem tak radby się dowiedział — złe czyny sąsiadów. Gdybym był pisał gazetę, to ilużbym wtedy miał czytelników! Ja wszakże pisałem zaraz do osób interesowanych i strach opanowywał wszystkie te miasta, do których zaszedłem. Bano się mnie i obchodzono ze mną bardzo grzecznie. Profesorzy obwołali mnie profesorem, krawcy dawali ubrania nowe, w które teraz dobrze jestem zaopatrzony; mennice były monety z moim portretem, a kobiety mówiły w oczy, że jestem piękny. Tym sposobem stałem się takim człowiekiem, jakim jestem. A teraz powiem panu: „Do widzenia!” Oto moja karta wizytowa, mieszkam po stronie słonecznej i podczas dni deszczowych jestem zawsze w domu.

Powiedziawszy to Cię wyszedł.

— Jednakże to rzecz zdumiewająca! — rzekł uczony.

Minął rok; gdy znów nagle przyszedł Cię w odwiedziny.

— Cóż dobrego? Jakże się powodzi? — zapytał.

— Ach! — odparł uczony — piszę teraz dzieło o prawdzie, o dobru i o pięknie, ale na takie rzeczy teraz każdy jest głuchy, zrozpaczony też jestem, obchodzi mnie to bowiem bardzo.

— Ja nigdy niczego zbyt nie biorę do serca — zawołał Cię — i dla tego tyję, o co starać się powinien każdy człowiek rozumny. Pan jeszcze zupełnie nie znasz świata, rozchorujesz się jeszcze, pan powinien wyruszyć w podróż. Wyjeżdżam w lecie, więc może mi pan będziesz towarzyszył? Radbym bardzo mieć towarzysza podróży. Czy nie zechcesz pan podróżować ze mną jako mój cień? Niezmiernie by mi było miło mieć pana przy swoim boku; koszta podróży poniosę.

— Trochę zadaleko się pan zapędzasz! — zauważył uczony.

— Jak dla kogo! — odparł Cię — podróż wzmocniłaby pana znów na siłach, jeżeli przeto zechcesz pan być cieniem moim, to sam poniosę wszelkie koszta podróży.

— To pomysł szalony!

— A jednak taki już jest świat i takim pozostanie zawsze — zawołał Cię i, rzekłszy to, wyszedł.

Uczonemu zaiste działo się niedobrze. W koło niego piętrzyły się kłopoty i klęski, wszystko zaś, co mówił o prawdzie, o dobru i pięknie, dla przeważnej części ludzi stawało się tem, czem perły, rzucone przed trzodę. Wkońcu rozchorował się naprawdę.

— Zupełnie wyglądasz pan teraz jak cień — mawiali znajomi, a uczony wzдрыgał się na samą myśl o tem.

— Musisz pan koniecznie wyjechać do wód — rzekł Cię, który go odwiedzał — nie ma innego środka. Po starej znajomości zabiorę pana z sobą, zapłacę podróż — pan zaś po drodze

skreślisz opis podróży naszej i odczytasz mi to po drodze, ku rozweseleniu mojemu. Chce koniecznie udać się do wód, broda mi bowiem nie chce tak rosnąć, jak powinna, ale to także choroba, brodę mieć trzeba. Weź pan przeto tę rzecz na rozum i przyjmij ofiarę moją: pojedziemy jak dwaj dobrzy towarzysze.

I pojechali razem; Cień był odtąd panem, pan zaś cieniem. Podróżowali razem, konno jeździli i chodzili razem ręka w rękę; czasem ten był w tyle, a ów na przodzie, to znów odwrotnie, stosownie do stanu słońca. Cień zawsze był panem, ale mało to obchodziło uczonego, miał on bowiem bardzo dobre serce; łagodny był i przyjacielski; rzekł też pewnego razu:

— Skoro już tak się stało, że jesteśmy towarzyszami podróży i oprócz tego od dzieciństwa byliśmy zawsze z sobą razem, więc czy nie byłoby dobrze wypić kielich na znak braterstwa naszego? Zawsze to będzie dowodem zaufania większego.

— Wypowiedziałeś pan przed chwilą swój pogląd — odparł na to Cień, który teraz właściwie był panem — wypowiedziałeś pan to prosto z mostu i szczerze, więc pozwól, że i ja będę także szczerym i odpowiem prosto z mostu: Pan, jako człowiek uczony, wiesz dobrze, jak kapryśną bywa natura. Niektórzy ludzie nie mogą dotknąć się bibuły, ażeby przytem nie doznać uczucia niemiłego; innym poruszają się wszystkie członki, gdy ktoś żelazem skrobie po szkłe, mnie zaś opanowuje podobne uczucie, gdy słyszę, że mi pan mówisz „ty”. Zupełnie, jakby mnie kto wtedy rzucił o ziemię; wydaje mi się wówczas, że zajmuję znów dawniejsze stanowisko swoje wobec pana. Z tego możesz pan wnosić, że nie chodzi tu wcale o dumę, ale tylko o uczucie; nie mogę przeto dopuścić, ażebyś pan miał mi mówić „ty”, z mojej wszakże strony jaknajchętniej będę pana tykał. W ten sposób wypełnię życzenia pańskie przynajmniej w połowie.

Od tego czasu Cień dawniejszemu panu swojemu mówił „ty”.

— Jednakże to doprawdy pomysł waryacki! — dumiał sobie uczony — ja muszę mu mówić „panie” a on mnie „tyka”.

Rad nie rad musiał jednakże to znosić.

W tym czasie przybyli do pewnego miejsca kąpielowego, gdzie zatrzymało się na czas dłuższy sporo osób obcych, pomiędzy nimi zaś pewna powabna królowna, której cała choroba zasadzała się na tem, że miała wzrok zbyt silny, co mogło wywołać stan krytyczny.

Królowna od razu spostrzegła, że ten przybysz nowy różni się zupełnie od wszystkich innych osób, myślała też sobie: „Powiadają, że przybył on tutaj, ażeby dopomódz porostowi brody, ale ja nie wierzę temu i widzę istotną przyczynę: Dokładnie ten człowiek nie może rzucić cienia za sobą.”

Ciekawość wielka opanowała królownę, i dlatego podczas przechadzki zawiązała natychmiast rozmowę z obcym młodzieńcem. Jako córka królewska nie robiła sobie wielkich subiekty, rzekła więc bez ogródki:

— Choroba pańska polega na tem, że pan nie możesz rzucać cienia na ziemię za sobą.

— Wasza królewska wysokość — odparł Cień — jest w drodze do poprawy zdrowia. Widzę, że dobrze znana mi choroba waszej wysokości t. j. wzrok zbyt silny, zginęła już zupełnie. Pani jesteście już uzdrowioną, nie odgadłaś bowiem, że ja przeciwnie, posiadam swój cień niezwykły. Czy pani nie widzi tej osoby, która mi towarzyszy stale? Wszyscy inni ludzie mają zwykłe cienie, dla mnie jednakże wszystko, co naturalne, nie ma żadnego powabu. Jak bowiem ubranie służby każe się robić z lepszego sukna, aniżeli pan sam je nosi, tak i ja w podobny sposób postąpiłem z cieniem swoim, którego kazałem wystroić jak człowieka. Widzisz pani, że nawet dodałem mu cień osobny. Wprawdzie jestto bardzo kosztowne, ale ja lubię posiadać coś takiego, czego nie ma nikt inny.



— Co? — zadumała się królowna — czyżbym istotnie miała wyzdrowieć? — Wody te coprawda okazały się najskuteczniejszymi ze wszystkich, woda ma obecnie zdumiewającą siłę, pomimo jednak tego wyzdrowienia, nie opuszczę kąpieli, teraz bowiem dopiero tutaj będzie przyjemnie. Ten cudzoziemiec podoba mi się wyjątkowo. Gdybyż tylko nie chciała mu urosnąć ta broda, pojechałby bowiem wtedy.

Wieczorem w wielkiej sali balowej tańczyła królowna z Cieniem. Lekką była, ale on jeszcze lżejszy: takiego tancerza nigdy jeszcze nie miała przy sobie.

Ona opowiedziała mu, z kąd pochodzi, on zaś znał ten kraj, był w nim; ale jej nie zastał wtedy w domu. Przez okna zaglądał z góry i z dołu, przyczem to i owo zauważył i teraz mógł królownie opowiedzieć i napomknąć o niektórych szczegółach, które ją w jawne wprowadzały zdumienie. Uczuła wielką cześć dla jego wiedzy rozległej, musiał to bowiem być człowiek najmędrzy w świecie całym. Gdy potem znów zaczęli tańczyć z sobą, już królowna była w nim zakochaną, co Cień spostrzegł doskonale, prześwidrowała go bowiem wzrokiem prawie na wylot. W następnym tańcu już miała na ustach wyznanie miłości swojej, ale na tyle była rozważną, że pomyślała o kraju swoim, o państwie i o tych tłumach ludu, którymi z czasem miała rządzić, mówiła przeto do siebie:

— Mądrym, jest i to rzecz dobra, tańczy świetnie, to także rzecz niezła, ale równie ważnym jest pytanie, czy te wiadomości jego są gruntowne. Muszę go przeto poddać egzaminowi.

Poczem zadawać mu poczęła zwolna pytania na temat najtrudniejszych do rozwiązania zagadnień, na które sama nie umiałaby dać odpowiedzi, Cień zaś nie miał wcale miny zdziwionego.

— Nie umie pan na to odpowiedzieć — rzekła królowna.

— Znam to jeszcze z ławy szkolnej — odparł Cień, — i jestem prawie pewny, że na te pytanie odpowiedziałby nawet cień mój, który tam stoi przy drzwiach.

— Cień pański?! to byłoby istotnie zdumiewające!

— Nie twierdzę tego z całą stanowczością, ażeby umiał odpowiedzieć, ale przypuszczam. Tyle lat towarzyszy mi stale, i ustawicznie się przysłuchuje temu, co mówię, że gotów jestem w to wierzyć. Pozwolę jednakże sobie zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Wysokości, że cień mój posiada dumę swego rodzaju, która mu nakazuje uchodzić za człowieka, jeżeli więc go mamy wprowadzić w dobry humor, — ów dobry humor zaś mieć musi, ażeby mógł dawać dobre odpowiedzi — to trzeba go traktować jak człowieka.

— Podoba mi się taka duma! — zawołała Królowna i podeszła do męża uczonego a stojącego pode drzwiami i zaczęła mówić o słońcu i księżycu, o cechach wewnętrznych i zewnętrznych człowieka, on zaś odpowiadał rozumnie i dobrze.

— Cóż to dopiero za mędrzec być musi, który taki mądry cień posiada! — pomyślała Królowna. — Ależ to prawdziwe błogosławieństwo dla ludu mego i państwa wybrać sobie takiego małżonka! Uczynię go mężem moim.

Królowna i Cień przyszli wkrótce do porozumienia pomiędzy sobą, nikt jednakże nie miał się dowiedzieć o tem postanowieniu, do czasu jej powrotu do kraju.

— Nikt nie ma się o tem dowiedzieć, nawet cień mój własny! — zawołał Cień, a miał w tem swoje cele specjalne.

Wkrótce znaleźli się w kraju, w którym rządziła królowna, o ile była w domu.

— Posłuchaj przyjacielu! — rzecze teraz Cień do uczonego — obecnie stałem się tak szczęśliwy i potężny, jak tylko ktośkolwiek być może i dla tego pragnę i tobie uczynić coś niezwykłego. Zamieszkasz przy mnie na zamku moim, będziesz jeździł moją karetą królewską

i otrzymasz rocznie sto tysięcy talarów, ale za to pozwolisz się przez każdego człowieka, bez wyjątku, nazywać „Cieniem.” Nie wolno ci mówić jakobyś był kiedykolwiek człowiekiem i raz do roku, gdy usiądę w altanie przy blasku słońca i pozwolę się ludowi oglądać, musisz u stóp moich legnąć, jak przystoi na cień prawdziwy. Przyznam ci się bowiem otwarcie, że żenię się z córką królewską, dziś wieczorem odbędzie się jeszcze wesele.

— Nie! to istotnie coś dziwnego! — zawołał uczony. — Nie chcę! Nie uczynię tego nigdy, nazywałoby się to oszustwem, okłamywaniem kraju i córki królewskiej. Powiem teraz wszystko, powiem; że ja jestem człowiekiem, ty zaś cieniem tylko, noszącym postać człowieka!

— Nie znajdziesz nikogo, ktoby ci uwierzył — zaśmiał się Cień. — Bądź więc rozumnym, inaczej każę przywołać wartę moją.

— A więc pójdę prosto do królowny — odparł uczony.

— W takim razie, ja pójdę pierwszy — zawołał Cień — a ty pójdiesz do więzienia!

I musiał pójść do więzienia biedny uczony, bo wartownicy posłuszni byli Cieniowi, którego królowna podnieść pragnęła do godności małżonka swojego.

— Ty drżysz? — zapytała królowna, gdy Cień wszedł do pokoju. — Czyżby ci się coś złego przytrafić miało? Nie wolno być ci chorym dzisiaj, gdy obchodzić mamy wesele nasze.

— Dożyłem dzisiaj rzeczy najstraszliwszej, jakiej tylko można dożyć — mówił Cień — pomyśl tylko, cień mój zwaryował (naturalnie, że taki biedny mózg cienia niewiele może wytrzymać) — cieniowi mojemu wydaje się, że jest naprawdę człowiekiem, i że ja — pomyśl tylko o tem — jestem tylko jego cieniem.

— To straszne! — zawołała królowna — pewnie zamknęli go dobrze w więzieniu?

— Tak się też i stało, ale obawiam się, że on już nigdy nie wróci do rozumu.

— Biedny cień! — westchnęła księżniczka — bardzo on jest nieszczęśliwy, i dobrodziejstwoby zrobiono, gdyby go uwolniono od tego życia w cieniu. Kiedy też zastanowię się nad tem, to czuję potrzebę zgładzenia go w cichości ze świata.

— Twardy to obowiązek, był on bowiem wiernym sługą moim — rzekł Cień i udawał, że wzdycha.

— Zacny masz charakter! — zawołała królowna.

Wieczorem miasto całe uroczyście było iluminowane. Armaty dawały salwy: "Bum!", żołnierze prezentowali broń. Była to uroczystość weselna. Królowna i Cień wyszli do altany, ażeby ich lud mógł oglądać i ażeby mogli być powitani okrzykami radości tłumu zebranych.

A mąż uczony nie słyszał nic, nie uczestniczył w tym dniu uroczystym — pozbawiono go życia.



## PASTUCH.

Był sobie raz pewien książę i miał maleńkie królestwo, takie jednak duże, iż mógł się ożenić, a żenić się pragnął bardzo.

Było to cprawda trochę za śmiało z jego strony, że postanowił sobie zapytać córki cesarza: „Czy mnie chcesz?” Ale wolno mu było, bo nazwisko jego znano szeroko i daleko. Setki księżniczek przyjęłoby z radością jego konkury. Ale zobaczymy, czy ona też je przyjmie.

Usłyszemy przecież!

Na grobie ojca księcia rósł krzak róży, prawdziwie precudowny! Kwitł tylko co pięć lat, a i wtedy rozwijała się na nim tylko jedna róża, ale woniejąca takim rozkosznem zapachem, że rozpraszał wszystkie troski i zmartwienia. Miał też książę słowika, który umiał tak śpiewać, jakgdyby wszystkie najśodsze melodye obrały sobie jego gardziołko za siedzibę. Tę różę i tego słowika miała dostać księżniczka; włożono je tedy do wielkich srebrnych naczyń i posłano.

Cesarz rozkazał nieść je przed sobą do wielkiej sali, do której udała się księżniczka, by z damami dworu bawić się „w gości”. Zabawek żadnych nie miały. Ujrzawszy zatem wielkie naczynia z podarunkami, klasnęła w dłonie z radości.

— Ach, gdyby to było kociątko! — rzekła, ale wtem ukazała się przepyszna róża.

— Jak ona ładnie zrobiona! — mówiły wszystkie damy dworu.

— Ta róża jest nietylko ładna — odparł cesarz — ale cudowna!

Księżniczka zaś dotknęła się jej i omal nie wybuchła płaczem.

— Pfe, papo! — zawołała — to nie sztuczna róża, tylko naturalna.

— Pfe! — zawtórowali wszyscy dworzanie — to róża naturalna!

— Zobaczmy najpierw co się znajduje w drugim naczyniu, zanim się rozgniewamy! — zauważył cesarz i w chwilę później ukazał się słowik. Śpiewał tak precudnie, że nie zdołano narazie powiedzieć o nim nic złego.

— *Superbe! Charmant!* — wołały wszystkie damy dworu, bo paplały one po francusku, jedna gorzej od drugiej.

— Jak mi ten ptak przypomina tabakierkę grającą jej cesarskiej mości nieboszczki cesarzowej! rzekł jeden ze starych dworzan. — Ach, tak, to zupełnie ten sam ton, ta sama melodia!

— Tak, tak! — odparł cesarz i zapłakał, jak małe dziecko.

— To chyba nie naturalny ptak! — zawołała księżniczka.

— Owszem, to ptak naturalny! — rzekli oddawcy.

— W takim razie wypuście go! — rozkazała księżniczka i pod żadnym pozorem nie chciała pozwolić, żeby książę przyszedł.

Ale to księcia nie onieśmieliło. Posmarował sobie twarz brunatną i czarną farbą ściągnął czapkę na oczy i zapukał.

— Dzień dobry, cesarzu! — rzekł. — Czy nie mógłbym wstąpić do służby na zamku?

— Ach, tu przychodzi tylu szukających miejsca! — odparł cesarz. — Ale poczekajno!... Potrzeba mi w istocie w tej chwili kogoś, któryby mi świnie pasał, bo mamy bardzo liczną trzodą.

Tak tedy księżę mianowany został cesarskim pastuchem świń. Dano mu nędzną izdebkę obok chlewu i tam musiał zamieszkać. Ale przez cały dzień siedział i pracował, a wieczorem skończył ładniutki mały garnuszek. W górze umieścił na nim dokoła dzwoneczki, które, skoro w garnku się zagotowało, dźwięczały ślicznie i grały starą melodyę.

Ale najkunsztowniejszem było to, że ktokolwiek potrzywał palec w unoszącej się z garnka parze, ten niezwłocznie mógł poczuć, jakie potrawy przyrządzano na każdym kominie w mieście. Co wobec tego oczywiście znaczyła róża!

Księżniczka przechodziła właśnie ze wszystkimi swemi damami, a usłyszawszy melodyę, zatrzymała się i rozweseliła się bardzo, gdyż i ona umiała grać tę piosenkę, i to jednym palcem.

— I ja to umiem! — zawołała. — To musi być naprawdę wykształcony pastuch. Słuchaj, idźno i zapytaj ile ten instrument kosztuje?

Jedna z dam musiała tedy poskoczyć do chlewu, ale przedtem wdziała pantofle drewniane.

— Ile żądasz za ten garnek? — spytała dama dworu.

— Żądam dziesięciu pocałunków od księżniczki, — odparł pastuch.

— Niechaj nas Bóg uchowa! — zawołała dama dworu.

— Trudno, mniej wziąć nie mogę — odpowiedział pastuch.

— I cóż mówi? — spytała księżniczka.

— Nie mogę powtórzyć! — odpowiedziała dama dworu; — to okropne!

— To mi szepnij! — A dama szepnęła jej.

— Ależ on niegrzeczny! — rzekła księżniczka i szybko podążyła dalej. Ale zaledwie uszła mały kawałek drogi, dzwoneczki znów odezwały się słodko.

— Słuchaj! — zaczęła księżniczka — zapytaj go, czy nie zechce dziesięciu pocałunków od moich dam dworu!

— O, nie! — odparł pastuch — dziesięć pocałunków od księżniczki, albo zatrzymuję garnek!

— Jaka to nudna sprawa! — rzekła księżniczka; — ale musicie przynajmniej zasłonić, tak, żeby tego nikt nie widział!

I damy dworu stanęły przed księżniczką, rozpostarły suknie, poczem pastuch otrzymał dziesięć pocałunków, a ona garnek.

Co to była za radość! Przez cały wieczór i cały dzień garnek musiał się gotować. Nie było w całym mieście ani jednego komina, o którym nie wiedziałyby, co się na nim gotuje, zarówno u szambelana, jak i u szewca. Damy dworu tańczyły i klaskały w dłonie.

— Wiemy kto będzie jadł słodką zupę i omlet. Wiemy komu podadzą kaszkę i kotlety! Jak to zabawnie! jak to cudownie!

— Rzeczywiście bardzo zabawnie! — przywtórzyła ochmistrzyni dworu.

— Ale tylko trzymajcie język za zębami, bom ja córka cesarza.

— Nie piśniemy ani słówka! — zapewniły wszystkie.

Pastuch tymczasem, to jest księżę, ale przecież one nic nie wiedziały i myślały, że to jest prawdziwy pastuch, nie stracił dnia na próżno, pracował pilnie i zrobił coś nowego — grzechotkę. Gdy nią kto pokręcił, rozbrzmiewały wszystkie walce i polki, jakie znano od

stworzenia świata.

— Ależ to *superbe!* — zawoła księżniczka, przechodząc. — Nie słyszałam nigdy piękniejszego instrumentu. Idź i zapytaj go, co kosztuje. Ale pocałunków już nie dam!

— Żąda stu pocałunków od księżniczki! — oznajmiła dama dworu, która poszła się dowiedzieć.

— Zdaje mi się, że on zwaryował! — rzekła księżniczka i podążyła dalej. Ale zaledwie uszła kawałek drogi, stanęła. — Trzeba sztukę popierać — odezwała się; — wszak niedawno jestem córką cesarską! Powiedz mu, że mu dam, jak wczoraj, dziesięć pocałunków, resztę może sobie wziąć od moich dam dworu!

— Ależ nam to nie sprawi żadnej przyjemności! — rzekły damy dworu.

— Koszałki opałki! — odparła księżniczka — jeżeli ja mogę go całować, to możecie i wy. Nie zapominajcie, że was karmię i płacę wam!

Nic nie pomogło, dama dworu musiała znów iść do pastucha.

— Sto całusów od księżniczki! — brzmiała odpowiedź — albo każdy pozostanie przy swoim.

— Zasłońcie mnie! — rozkazała księżniczka; — damy stanęły rzędem a pastuch całował.

— Co może znaczyć to zbiegowisko na dole przed chlewem — rzekł król, który wyszedł na ganek. Przetarł oczy i włożył okulary. — To jakaś sprawka dam dworu. Pójdę ja tam do nich na dół. — I szybko wciągnął z tyłu pantofle w górę, bo były to właściwie trzewiki, które tak przydeptał.

Tam do licha, jakże mu było pilno!

Zszedłszy na dziedziniec, zbliżał się pocichutku, a damy dworu takie były zajęte liczeniem pocałunków, bo przecież sprawa musiała być załatwiona uczciwie — pastuch nie mógł dostać zawiele pocałunków, ale też i nie zamało — że wcale nie zauważyły cesarza, który wspiał się na palcach.

— A to co? — rzekł, ujrawszy jak się całują, i zaczął ich bić pantoflem, właśnie gdy pastuch odbierał osiemdziesiąty szósty pocałunek.

— Precz! — zawołał cesarz, bo był bardzo rozgniewany, i zarówno pastuch jak i księżniczka, zostali z jego cesarstwa wygnani.

Księżniczka stała i płakała, pastuch kłął, a deszcz lał jak z cebra.

— Ach, ja nieszczęśliwa istota! — biadała księżniczka — czemu nie chciałam tego ślicznego księcia! Ach, jaka ja nieszczęśliwa!

A pastuch wsunął się za drzewo, starł czarną i brunatną farbę z oblicza, zrzucił nędzne lachmany i ukazał się w swym stroju książęcym, a był taki piękny, że księżniczka mimowoli złożyła mu pokłon.

— Doprowadziłaś mnie do tego, że tobą pogardzam! — zaczął. — Nie chciałaś uczciwego księcia! Nie poznałaś się na różach i słowikach, ale pastucha mogłaś całować dla zabawek grających. Obecna twoja niedola jest zasłużona.

Poczem powrócił do swego królestwa, zamknął drzwi, zasunął rygiel, a księżniczka mogła sobie stać na dworzu i śpiewać swoją ulubioną piosenkę.

## Niegrzeczny chłopiec.

Był sobie raz stary poeta, ot taki poczciwy, stary poeta.

Pewnego wieczora, kiedy siedział w domu, rozszalała się na dworze straszna niepogoda; deszcz lał jak z cebra, ale poeta siedział sobie spokojnie przy swoim ciepłym, kaflowym piecu, w którym płonęło ognisko i piekły się jabłka:

— Już tam chyba suchej nitki nie zostanie na tych biedakach, którzy są teraz na dworze — pomyślał sobie zacny poeta.

— Otwórz mi! Ziębnięty jestem i przemokłem cały! — ozwał się nagle ze dworu głosik dziecięcy.

Biedactwo płakało, pukając do drzwi wśród szumu deszczu, dzwoniącego o szyby okien.

— Ach biedne ty maleństwo — rzekł stary poeta i poszedł drzwi mu otworzyć. Przed drzwiami stał mały chłopczyzna; był całkiem nagi i woda spływała z jego długich, jasnych włosów. Stał drżący od zimna i gdyby nie wszedł, byłby zginął zapewne wśród takiej strasznej burzy.

— O biedny mały — rzekł stary poeta, biorąc go za rękę. — Wejdz tylko do mnie, a już ja cię ogrzeję! Jesteś takim miłym, ładnym chłopczykiem; dostaniesz wina i jabłek.

I ładny był dzieciak rzeczywiście. Jego oczy płonęły jak dwie gwiazdy świetliste, a jasne włoski, chociaż z nich woda spływała, kręciły się filuternie nad czołem. Wyglądał on jak mały aniołek, był tylko blady od zimna i drżał na całym ciele.

W rączkach trzymał przepyszny łuk, zupełnie wszakże wskutek deszczu zniszczony; cudne kolory strzał zlały się w jeden szary.

Stary poeta zasiadł znów przy piecu kaflowym, wziął małego chłopca w ramiona, wycisnął mu wodę z włosów, ogrzał w swoich własnych jego zimne rączyny i zagotował mu słodkiego wina, dopiero wtedy przyszedł malec do siebie, policzki mu się zaróżowiły; zeskoczywszy na podłogę, zaczął tańczyć wokoło starego poety.

— Jesteś wesołym chłopcem — rzekł stary — ale jakże się nazywasz?

— Nazywam się Amor — odparł tenże — czyż mnie nie poznajesz? Tam oto leży mój łuk — a z łuku tego umiem ci ja strzelać, umiem! — Patrz, na dworze znów się wypogodziło; księżyc świeci tak pięknie!

— Lecz łuk twój zepsuty — odezwał się stary.

— Oj, to byłoby źle! — odparł chłopczyzna, i ująwszy za łuk, starannie go obejrzał.

— O, już suchy zupełnie i nie ucierpiał wcale. Patrz, jak cięciwa trzyma się mocno! A teraz muszę go wypróbować!

Mówiąc to, łuk napiął, nałożył strzałę, wycelował i wystrzelił prosto w serce starego poety.

— A teraz zobaczysz, że łuk mój nie był zepsuty — zawołał, śmiejąc się głośno i pobiegł w swoją drogę. Niegrzeczny chłopiec! Strzelać do starego poety, który go tak gościnnie przyjął w swojej ciepłej izbie, który był tak dobry dla niego, dał mu smacznego wina i najlepszych jabłek.

Dobry poeta leżał na podłodze i płakał. Pocisk ugodził go w samo serce.

— Do licha — zamruczał — jaki to niegrzeczny chłopiec ten Amor. Wszystkim dobrym

dzieciom muszę to opowiedzieć i ostrzedz je, aby się z nim nigdy nie bawiły, gdyż on przyniesie im tylko nieszczęście.

Wszystkie więc dobre dzieci — dziewczynki i chłopcy wystrzegały się odtąd złego Amora — ale niestety, przebiegły i chytry Amor zawsze ich umiejętnie podejść potrafił.

Idą naprzykład studenci z odczytów. Amor podąża wraz z nimi w czarnym surducie i z książką pod pachą. Oni go nie poznają i, biorąc także za studenta, ściskają serdecznie i wtedy przeszywa im piersi swą strzałą. Kiedy panienki wracają od kaznodziei, lub stoją w kościele, jest i on zawsze pomiędzy nimi. Zaiste; we wszystkie czasy krąży on ciągle wokoło ludzi. Zasiada na wielkim świeczniku w teatrze i świeci tak jasno i pięknie, że ludzie biorą go za lampę i dopiero potem miarkują, że było to coś innego. Wbiega do parków królewskich i unosi się na falach, a nawet kiedyś własnego swojego ojca i rodzoną matkę ugodził w serce śmiertelnie. Zapytaj ich tylko, a usłyszysz, co oni ci powiedzą.

O tak, zły to chłopiec, ten Amor, z którym nie radzę ci nigdy się zadawać.

Krąży on wokoło wszystkich ludzi. Pomyśl tylko, on to wypuścił kiedyś strzałę nawet na twoją babkę.

Zapewne bardzo to dawno już temu, lecz ona tego nigdy nie zapomni.

Tfu, ten brzydki Amor! — Ale ty znasz go już przecież! Pomyśl tylko, jaki to niegrzeczny chłopiec.

---

## Świnia spiżowa.

We Florencyi, nieopodal *Piazza del granduca*, biegnie mała uliczka poprzeczna, nazwana, jeśli się nie mylę, *Porta rossa*. Na tej uliczce, niegdyś hali targowej, w której sprzedawano warzywa, spoczywa artystycznie wykonana świnia ze spiżu. Świeża, przezroczysta woda wypływa z pyska zwierzęcia, które ze starości stało się już zupełnie ciemno-zielone. Ryj tylko lśni się, jak gdyby był wypolerowany, bo też i wypolerowały go liczne setki dzieci i ubogich ludzi, którzy obejmują go dłońmi i spragnieni przytykają usta do pyska zwierzęcia. Widok ładnego, nawpół nagiego chłopaka, obejmującego kształtne zwierzę i przykładającego świeże usta do jego ryja, przedstawia wdzięczny obrazek.

Każdy, kto przybywa do Florencyi, niechaj tylko zapyta pierwszego lepszego żebraka o świnie spiżową, a może być pewien, że ją znajdzie.

Było to późnym wieczorem w zimie, góry leżały spowite w śniegu, ale księżyc świecił, a blask księżycy we Włoszech jest taki jasny, że może współzawodniczyć z posępnym dniem zimowym na Północy; nie, jaśniejszy on jeszcze, bo powietrze jest prześwietlone, powietrze unosi, gdy na Północy zimny, szary, ołowiany dzień przytłacza nas do ziemi, do zimnej, wilgotnej ziemi, która kiedyś zacięży na naszej trumnie.

W ogrodzie zamkowym wielkiego księcia, gdzie nawet w porze zimowej kwitną tysiące róż pod osłoną pineli, przesiedział dzień cały, okryty łachmanami chłopaczyna, który mógłby służyć za uosobienie Włoch, taki był piękny, taki uśmiechnięty, a taki nędzarz. Głodny był i spragniony, nikt nie dał mu grosza, a gdy się ściemniło i miano ogród zamknąć, wypędził chłopaka odzwierny. Malec długo stał rozmarzony na moście, wiodącym przez Arno i spoglądał na gwiazdy, odbijające się w wodzie.

Poczem skierował się ku świnie spiżowej, przykląkł, otoczył ramionami jej szyję, przyłożył drobne usta do jej lśniącego ryja i pił chciwie świeżą wodę. Tuż obok leżało kilka liści sałaty i parę kasztanów, — posłużyły mu za wieczerzę. Ulicą nie przechodziła żywa dusza; chłopak był zupełnie sam; usiadł tedy na grzbiecie świnie spiżowej, pochylił się naprzód, tak, że jego kędzierzawa główka spoczęła na łbie zwierzęcia, i ani wiedział, kiedy zasnął.

Nadeszła północ; świnia spiżowa poruszyła się, a chłopiec usłyszał jak powiedziała zupełnie wyraźnie: „Słuchajno malcze, trzymaj się mocno, bo ruszam w drogę”! I poleciała wraz z nim. Szczególna to była jazda. Najpierw dostali się na *Piazza del granduca*. Koń spiżowy, niosący posąg księcia, zarżał głośno. Herb kolorowy na starym ratuszu jaśniał, jakgdyby był przezroczysty, a Dawid Michała Anioła wywijał swoją procą. Wszędzie zapanowało osobliwe życie. Ożyły grupy, wyobrażające Perseusza i porwanie Sabine. Okrzyk śmiertelnej trwogi wyrwał się z pomiędzy nich i rozbrzmiał po wspaniałym pustym placu.

Przed *Palazzo degli Uffici*, pod łukiem, gdzie arystokracja podczas postu zbiera się na figle zapustne, zatrzymała się świnia spiżowa.

— Trzymaj się mocno, bo teraz pojedziemy po schodach w górę.

Malec nie przemówił dotąd ani słowa, nawpół drżąc ze strachu, nawpół uszczęśliwiony.

Weszli do długiej galeryi, którą znał dobrze: był tu już nieraz. Na ścianach jaśniały malowidła. Tutaj stały posągi i popiersia, wszystkie w cudnem świetle, jakgdyby był jasny dzień, ale najpiękniej było, gdy otwartę się drzwi do sąsiednich pokojów. Tak, malec przypominał sobie te cuda, ale tej nocy wszystko jaśniało świetniejszym jeszcze blaskiem.

Tutaj stała naga precudna kobieta, tak piękna, jaką tylko natura i największy mistrz z marmuru mógł stworzyć. Poruszała wdzięczne kształty, delfiny skakały u jej stóp, z oczu jej promieniała nieśmiertelność. Świat nazywa ją Wenerą Medycyjską. Po obu jej stronach wznoszą się posągi marmurowe wspaniałych mężczyzn. Jeden z nich ostrzy miecz, — nazwany



jest szlifierzem; drugą grupę tworzą zapaśnicy: miecz został naostrzony, a oni toczą bój o boginię piękności.

Chłopiec był całym tym blaskiem olśniony; ściany promieniały barwami a wszystko drgało życiem i ruchem. Wenera ukazywała się wyobrażona dwukrotnie; a tą drugą była Wenera ziemską, pełnych kształtów i namiętna, taka, jaką ją widział Tycjan. Dwie przepyszne postaci kobiece! Piękne, nieosłonięte kształty przeciągały się na miękkich poduszkach, pierś się podnosiła, a głowa poruszała się tak, że obfite zwoje włosów spadały na okrągłe ramiona, gdy ciemne oczy wypowiadały namiętne myśli. Lecz żaden z obrazów nie śmiał zupełnie z ram wystąpić. Nawet bogini piękności, zapaśnicy i szlifierz pozostali na swoich miejscach, albowiem powstrzymywała ich aureola, bijąca od Madonny, Jezusa Chrystusa i Ś-go Jana. Obrazy Świętych nie były już obrazami, lecz samymi Świętymi.

Co za blask, jakie cuda w jednej sali za drugą! A malec mógł oglądać wszystko; wszak świnia spiżowa chodziła krok za krokiem śród tego całego przepychu. Widoki zacierały się wzajemnie, i tylko jeden obraz pozostał wyryty w duszy chłopca, głównie z powodu wesołych, szczęśliwych dzieci, które się na nim znajdowały, a do których malec uśmiechał się już raz kiedyś w świetle dziennem.

Wiele osób przechodzi pewnie niebacznie mimo tego obrazu, a jednak zawiera on skarby poezji: wyobraża Chrystusa, zstępującego do piekieł, lecz dokoła niego nie widać potępionych tylko pogan. Namalował ten obraz Florentczyk, Angiolo Bronzino; najwspanialej wyrażone jest na nim przeświadczenie dzieci, że pójdą do nieba: dwoje dzieci całuje się już i ściska, jeden malec podaje drugiemu, stojącemu jeszcze w głębi, rękę i pokazuje na siebie, jakgdyby chciał powiedzieć: „Mam pójść do nieba!” A wszystkie inne stoją niepewne, ożywione nadzieją, lub też pochyłają się kornie rozmodlone przed Jezusem Chrystusem.

Chłopiec spoglądał na ten obraz dłużej niż na jakikolwiek inny. Świnia spiżowa stała przed nim długo. Naraz rozległo się ciche westchnienie. Uleciało z obrazu, czy też z piersi zwierzęcia? Chłopiec podniósł rękę ku uśmiechniętym dzieciom. — Wtem zwierzę popędziło z nim dalej przez otwarty przedsionek.

— Dzięki ci i błogosławieństwo, moje poczciwe zwierzę! — rzekł mały chłopiec i pogłaskał świnie spiżową, która: bęc, bęc! zeskakiwała z nim ze schodów.

— Dzięki i błogosławieństwo tobie samemu! — odparła świnia spiżowa, — ja dopomogłam tobie, a tyś mnie dopomógł, albowiem siła do biegu wstępuje we mnie tylko wtedy, gdy mam na grzbiecie niewinne dziecko. Tak, widzisz, i mnie wolno wejść pod promienie lampy przed obrazem Madonny. Mogę cię zanieść wszędzie, tylko nie do kościoła. Ale z dworu mogę, jeśli mam cię przy sobie, zajrzeć do wnętrza przez otwarte wrota. Nie schodź z mojego grzbietu, bo jeśli zejdziesz, to padnę martwa, taka, jaką mnie widzisz we dnie na ulicy *Porta rossa*.

— Pozostanę przy tobie, moje dobre zwierzę! — odparł malec i pędem podążyli dalej ulicami Florencji, aż na plac przed kościół *Santa Croce*.

Wielkie drzwi rozwarły się na oścież, światło promieniało od ołtarza aż na opustoszały plac.

Szczególny blask bił od jednego z grobowców w lewej nawie bocznej, a tysiące ruchomych gwiazd tworzyło nad nim niby aureolę. Na grobowcu widniała tarcza herbowa, czerwona drabina na błękitnym polu, która płonęła niby ogień. Był to grób Galileusza; pomnik to prosty ale czerwona drabina na błękitnym polu stanowi znamienną oznakę herbową, — przystoi ona każdej sztuce, albowiem tu droga prowadzi zawsze po płonącej drabinie ku górze, w niebiosą. Wszyscy prorocy ducha wstępują do nieba jak prorok Elias.

Zdawało się, że w lewej nawie życie wstępuje w każdy posąg na bogatych sarkofagach. Tutaj stoi Michał Anioł, tam Dante z wawrzynem na skroni. Alfieri, Machiavelli, — jeden obok

drugiego, spoczywają tutaj ci bohaterowie ducha, duma Włoch. Wspaniały to kościół, jakkolwiek nie taki duży jak wzniesiona z marmuru katedra we Florencji.

Zdawało się, że posągi marmurowe się poruszały, wielkie postaci coraz wyżej podnosiły głowy, i wśród śpiewów i harmonijnych dźwięków spoglądały w nocnej godzinie na barwny, promiejący ołtarz, gdzie biało ubrani chłopcy bujali złote kadzielnice. Silna woń kadzidła rozchodziła się z kościoła aż na otwarty plac.

Chłopiec wyciągnął rękę do blasku świateł, lecz w tejże chwili świnia spiżowa popędziła dalej; malec musiał się mocno przytulić do niej; słyszał jak wrota kościelne zamykały się, skrzypiąc, jednocześnie zaś opuściła go przytomność, uczuł dotkliwie zimno i otworzył oczy.

Jaśniał już ranek; malec siedział, nawpół zesunięty na świni spiżowej, która, jak zwykle, stała na ulicy *Porto rossa*.

Lęk i trwoga zdjęły chłopca na myśl o tej, którą nazywał swoją matką, o tej, która wysłała go wczoraj po pieniądze. Pieniędzy nie miał, a głodny był i spragniony. Raz jeszcze objął świnie za szyję, pocałował ją w ryj, skinął jej głową i ruszył w drogę, ku jednej z największych ulic, zaledwie tak szerokiej, że zdołałby się na niej pomieścić dobrze obładowany osioł. Wielkie, żelazem okute drzwi, stały nawpół uchylone, malec wszedł po kamiennych schodach z brudnymi stopniami i wytartą liną, zamiast poręczy, i dostał się do otwartej, łachmanami zawieszanej galeryi. Ztąd prowadziły schody na dziedziniec, gdzie od studni przeprowadzone były na wszystkie piętra mocne druty żelazne, na których wisały szeregiem kubły; winda skrzypiała, a kubły kołysały się w powietrzu, tak, że woda spadała z pluskiem na dziedziniec. Malec poszedł zapadłymi schodami dalej w górę. Dwaj majtkowie, cudzoziemcy, zeskakiwali wesoło ze stopni i omal nie przewrócili biednego chłopca — wracali z nocnej pohulanki. Za nimi wyszła niezbyt już młoda, lecz barczysta kobieta z bujnymi czarnymi włosami.

— Co przynosisz do domu? — zapytała chłopca.

— Nie gniewaj się! — prosił, — nie dostałem nic, ani grosza! — Schwycił spódnicę matki, jakgdyby ją chciał ucałować. Weszli razem do pokoju; nie będziemy nic opisywali, powiemy tylko tyle, że stał tam garnek z węglami, nazywany *marito*. Kobieta wzięła go na rękę, grzała w nim palce i potrafiła chłopca łokciem.

— Ty pewnie masz pieniądze! — krzyknęła.

Dziecko zapłakało, kopnęła je nogą, — zawodziło głośno.

— Będziesz ty milczał, inaczej głowę ci rozwalę! — wrzasnęła, wywijając garnkiem. Chłopiec, krzycząc, przykucnął na ziemi. Naraz weszła sąsiadka, trzymająca również swój *marito* na rękę.

— Felicito! Co ty wyrabiasz z dzieckiem?

— To moje dziecko! — odparła Felicita. — Mogę je zabić, jeśli zechcę i ciebie razem z niem, Gianino! — i zamierzyła się garnkiem. Sąsiadka podniosła swój w górę dla obrony i oba garnki uderzyły o siebie, a w pokoju posypały się skorupy, ogień i popiół; — malec zaś w mgnieniu oka wymknął się przez drzwi, przeleciał przez dziedziniec i wybiegł z domu. Biedny chłopiec pędził dopóki mu tchu starczyło. Zatrzymał się przy kościele *Santa Croce*, przy tym kościele, którego główne wrota otworzyły się przed nim ostatniej nocy, i wszedł. Wszystko jaśniało promieniście! — Ukląkł przed pierwszym grobowcem na prawo, — był to grobowiec Michała Anioła — i załkał głośno. Ludzie wchodzili i wychodzili, odprawiono mszę, a nikt nie spojrzał nawet na chłopca. Jakiś starszy mieszczanin tylko przystanął, przyjrzał mu się i odszedł wraz z innymi.

Głód i pragnienie dręczyły malca, był chory i siły go opuszczały. Wsunął się tedy między ścianę a pomnik marmurowy i zasnął. Było już koło wieczora, gdy zbudził się, bo go ktoś

szarpał za ramię. Zerwał się, — przed nim stał ten sam stary mieszczanin.

— Czyś ty chory? Gdzie mieszkasz? — Czyś był tutaj przez cały dzień? — tak brzmiały niektóre z wielu zapytań, jakimi stary go zasypał. Odpowiedział na nie i starzec zabrał go ze sobą do małego domku, który stał tuż obok, na jednej z bocznych ulic. Był to warsztat rękawiczniczy; weszli obaj. Kobieta siedziała jeszcze przy robocie i szyła pilnie. Mały, biały piesek boloński, tak krótko ostrzyżony, że można było widzieć jego różową skórę, wskoczył na stół i zaczął przed chłopcem wyprawiać różne harce.

— Niewinne dusze poznają się odrazu — rzekła kobieta, głaszcząc psa i chłopca.

Pocziwi ludzie nakarmili go i напоili i powiedzieli, iż może przez noc u nich pozostać; nazajutrz zaś, ojciec Giuseppe pomówi z jego matką. Malec dostał ubogie łóżeczko, ale jemu, który często musiał sypiać na twardej ziemi kamiennej, wydawało się królewskiem. Spał wyśmienicie i śnił o wspaniałych obrazach i o świni spiżowej.

Ojciec Giuseppe wyszedł następnego ranka, co wcale nie ucieszyło biednego chłopca, albowiem wiedział, że udał się do jego matki i malec płakał i całował wesołego pieska, a kobieta uśmiechała się do nich.

Jaką też odpowiedź przyniósł ojciec Giuseppe? — Mówił długo z żoną, a ona kiwała głową potakująco i głaskała malca.

— Chłopak jest grzeczny — rzekła — i może zostać takim dzielnym rękawicznikiem jak ty! A jakie on ma delikatne i zwinne palce! Madonna przeznaczyła go na rękawicznika!

I chłopiec pozostał u nich, a kobieta sama uczyła go szyć. Jadł dobrze, spał dobrze, nabrał humoru i zaczął swawolić z *Bellissimą*; tak się nazywał piesek. Kobieta groziła palcem, łajała i raz rozgniewała się, co chłopiec wziął bardzo do serca. Zadumany siedział w swojej małej izdebce, która wychodziła na ulicę, gdzie suszono skóry. Grube sztaby żelazne osłaniały okna, — malec nie mógł spać, świnią spiżową stała mu ciągle w myśli; naraz usłyszał na dworze szmer jakiś. To ona, to pewno ona! — Poskoczył do okna, ale nic nie zobaczył.

— Pomóż panu nieść pudełko z farbami! — rzekła rano kobieta do chłopca, gdy młody sąsiad, malarz, wszedł z temże pudełkiem oraz wielkim kawałem zwiniętego płótna.

Dziecko wzięło pudełko i poszło za malarzem; udali się w drogę do galeryi, weszli na te same schody, które pamiętał od owej nocy, kiedy jeździł na świni spiżowej. Poznał posągi i obrazy, precudną Wenus marmurową i wszystkie figury, które wówczas żyły na malowidłach; ujrzał znów Madonnę, Jezusa Chrystusa i Ś-go Jana.

Wreszcie zatrzymali się przed obrazem Bronzina, na którym Chrystus zstępuje do piekieł, a dzieci dokoła niego uśmiechają się w słodkiej pewności, że pójdą do nieba. Biedny malec uśmiechnął się również, albowiem tutaj był w swoim niebie.

— Idź teraz do domu! — rzekł do niego malarz, którego nie opuszczał przez cały czas, jakiego ten potrzebował do ustawienia sztalug.

— Czy mogę się panu przypatrywać? — zapytał chłopiec. — Mogę się przyglądać jak pan będzie malował ten obraz na tym białym kawałku płótna?

— Nie będę jeszcze teraz malował! — odpowiedział artysta i wydobył czarną kredkę. Ręka poruszała się szybko, oko obejmowało rozmiary wielkiego obrazu i, jakkolwiek ukazywała się tylko cienka kreska, niemniej niebawem stanął, unoszący się w przestworzu, Chrystus, jak na barwnym malowidle.

— Ależ idźże sobie! — zawołał malarz i chłopiec powędrował smutny do domu, gdzie usiadł na stole i — uczył się szyć rękawiczki.

Lecz przez cały dzień myśli jego przebywały w sali z obrazami a ztąd kłół się w palce i robota mu nie szła, lecz *Bellissimy* już nie zaczepiał. Gdy zapadł wieczór, a drzwi od ulicy były właśnie otwarte, wysunął się z domu. Powietrze było zimne, lecz piękne i czyste, a niebo roziskrzone gwiazdami. Malec wędrował ulicami, na których panowała już cisza i niebawem stanął przed świnią spiżową. Pochylił się nad nią, ucałował lśniący ryj i usiadł na jej grzbiecie.

— Moje ty poczciwe zwierzę, — rzekł, — jak ja tęskniłem za tobą! Musimy się znów przejechać dziś w nocy!

Świnia spiżowa spoczywała nieruchoma, a świeża woda tryskała z jej pyska. Malec siedział jak rycerz, gdy naraz szarpnął go ktoś za ubranie. Obejrzał się, — była to *Bellissima*, mała, ostrzyżona do naga *Bellissima*. Pies wymknął się również z domu i poleciał za malcem, tak, że on tego nie spostrzegł. *Bellissima* szczekała, jakgdyby chcąc powiedzieć: — Patrz, oto jestem, a czemu ty tam siedzisz? Smok, ogniem ziejący, nie mógłby bardziej przerazić chłopca, niż widok pieska na tem miejscu. *Bellissima* na ulicy i jeszcze do tego nieubrana, jak mówiła stara matka, co to będzie! Pies nigdy nie wychodził zimą bez ostrzyżonej i pięknie oszytej skórki jagnięcej, przymocowanej dokoła szyi czerwoną wstążeczką, na której wisiał dzwoneczek z kokardą; w ten sam sposób przywiązywano mu skórkę pod brzuchem. Pies wyglądał prawie jak koza, gdy zimą wychodził w tym stroju z *signorą* na spacer. A teraz wybiegł i nie był ubrany; co z tego wyniknie! Wszystkie marzenia pierzchły, chłopiec pocałował jednak świnię spiżową, wziął drżącą z zimna *Bellissimę* pod pachę i pobiegł, co sił, do domu.

— Z czem tak uciekasz? — zawołało dwóch żandarmów, których spotkał, a *Bellissima* zaszczekała. — Gdzie ukradłeś tego pięknego psa? — spytali i odebrali mu psiaka.

— O, oddajcie mi go — błagał chłopiec.

— Jeżeli go nie ukradł, w takim razie powiedz w domu, że można psa odebrać na odwachu, — wymienili miejsce i odeszli z *Bellissimą*.

Chłopca ogarnęła rozpacz. Nie wiedział, czy ma wskoczyć do Arno, czy pójść do domu i wszystko wyznać. — Zabiją mnie go napewno, — pomyślał. — Ale owszem, z chęcią dam się zabić, to pójdę do Pana Jezusa i do Matki Boskiej. — I poszedł do domu, głównie dlatego, żeby się dać zabić.

Drzwi były zamknięte, do młotka dostać nie mógł, a na ulicy nie było nikogo; ale spostrzegł kamień i huknął nim we drzwi.

— Kto tam? — zawołano z wewnątrz.

— To ja, — krzyknął, — *Bellissimy* niema! — Otwórzcie mi, a potem mnie zabijcie!

Strachu było niemało o biedną *Bellissimę*, zwłaszcza zatrwożyła się *signora*. Spojrzała na ścianę, skórka jagnięca wisiała na miejscu.

— *Bellissima* na odwachu! — zawołała stara przeraźliwym głosem. — Ty niedobre dziecko! Jakim sposobem wypuściłeś ją! Zmarznie na śmierć! Takie delikatne zwierzątko między tymi ordynarnymi żołnierzami!

I ojciec musiał zaraz ruszyć w drogę! Kobieta zawodziła, a chłopiec płakał. Zbiegli się wszyscy ludzie z całego domu, a z nimi malarz. Wziął chłopca między kolana, zaczął go wypytywać i potrochu dowiedział się całej historii o świni spiżowej i o galerii obrazów. Bardzo zrozumiała historia ta oczywiście nie była, ale malarz pocieszał malca, dodawał otuchy starej, która jednak nie uspokoiła się dopóki nie powrócił ojciec z *Bellissimą* od żołnierzy. Radość była wielka, a malarz pogłaskał biednego chłopca i dał mu garść obrazków.

Jakie tam były śliczne rzeczy, jakie pocieszne głowy! Ale przedewszystkiem była tam świnka spiżowa, jak żywa. Nic cudowniejszego istnieć nie mogło! — Widniała na papierze kilku kreskami zrobiona i dom z tyłu był zaznaczony.

— Gdyby tak umieć rysować i malować! To możnaby sobie cały świat przywłaszczyć!

Następnego dnia malec, korzystając z pierwszej samotnej chwili, schwycił ołówek i spróbował odtworzyć, na białej stronicy jednego z obrazków, rysunek świni spiżowej; i udało mu się! Trochę krzywo, trochę nierówno, jedna noga gruba, druga cienka, ale można jednak było zwierzę poznać; malec nie posiadał się z radości. Zauważył tylko, że ołówek nie chciał tak iść jak powinien. Ale następnego dnia stała już druga świnia spiżowa obok pierwszej i była sto razy lepsza; trzecia zaś była taka dobra, że ją każdy poznał od pierwszego wejrzenia.

Z szyciem rękawiczek za to szło kiepsko; malec wolno postępował w swoim rzemiośle; świnia spiżowa nauczyła go bowiem, że można wszystkie obrazy przenieść na papier, a Florencia jest wielką księgą z obrazkami dla tego, kto chce ją przeglądać. Oto na *Piazza della Trinita*, stoi smukła kolumna, a na niej bogini Sprawiedliwości z zawiązanymi oczyma i wagą; niebawem stała i na papierze, a przeniósł ją nań mały chłopiec od rękawicznika. Zbiór obrazków powiększał się, ale dotąd treści dostarczały tylko martwe przedmioty. Wtem, pewnego dnia, przed malcem zaczęła skakać *Bellissima*.

— Stój spokojnie — zawołał — to będziesz uwieczniona i umieszczę cię między memi obrazkami!

Ale *Bellissima* nie chciała stać spokojnie, musiał ją tedy przywiązać. Przywiązał głowę i ogon, ale pies szczekał i wyprawiał skoki, trzeba było sznurek przymocować. Naraz weszła *signora*.

— Ty bezbożniku! Biedne zwierzę! — to wszystko, co zdołała wypowiedzieć. Dała chłopcu kulaka w bok, skopała go nogami i wypędziła z domu. — Taki niewdzięczny łotr, takie bezbożne dziecko! — I, płacząc, całowała swoją małą, nawpół uduszoną *Bellissimę*.

W tej samej chwili wchodził po schodach malarz i — tu następuje punkt zwrotny opowieści.

W r. 1834 odbywała się w *Accademia delle Arte* we Florencji wystawa; dwa obok siebie ustawione malowidła gromadziły tłumy wielbicieli. Na mniejszym obrazku przedstawiony był wesoły chłopaczyna, który siedział i rysował. Za model miał białego, krótko ostrzyżonego mopsa, ale zwierzę nie chciało stać spokojnie i dlatego było przywiązane szpagatem za głowę i ogon. Z obrazka tryskały życie i prawda, które musiały przemówić do każdego. Twórcą malowidła był, jak opowiadano, młody Florentczyk, znaleziony małym dzieckiem na ulicy i wychowywany przez starego rękawicznika. Rysować nauczył się sam. Słynny teraz malarz odkrył ów talent, gdy chłopiec miał być wypędzony, bo faworyta żony rękawicznika, małego mopsa, związał i wziął sobie za model.

Uczeń rękawiczniczy został wielkim malarzem, wykazywało to zwłaszcza wiszące obok większe malowidło. Tutaj była tylko jedna figura: ładny, w łachmany otulony chłopiec siedział na ulicy i spał. Oparty był o świnie spiżową na ulicy *Porta rossa*. Wszyscy widzowie znali tę miejscowość. Ręce dziecka spoczywały na łbie świni; malec spał z całym spokojem, lampa z przed obrazu Madonny rzucała silny blask na blade, śliczne oblicze dziecka. Wspaniały to był obraz; okalały go wielkie pozłacane ramy, a nad ramami, u góry, wisiał wieniec z wawrzynu, pomiędzy zielonemi liśćmi wiła się czarna wstążka a z pod niej zwieszało się długie pasmo żałobnej krepy.

Młody artysta — zmarł przed kilku dniami.

---

## *Księżniczka na grochu.*

Był sobie pewnego razu książę, który chciał się ożenić z księżniczką, chodziło tylko o to, żeby to była prawdziwa księżniczka.

Objechał więc świat cały, ale zawsze okoliczności składały się niepomyślnie. Księżniczek wprawdzie spotykał dosyć, ale czy to były prawdziwe księżniczki, tego nie mógł w żaden sposób sprawdzić, gdyż zawsze znalazło się coś, co mu wątpić o tem kazało. Zmartwiony bezowocnymi poszukiwaniami powrócił wkońcu do domu. Pewnego wieczora rozszała straszna burza, błyskało, grzmiało, deszcz lał jak z cebra, jednym słowem czas był okropny. — Wtem zapukał ktoś do bramy miasta, więc stary król poszedł sam otworzyć. Była to księżniczka, stojąca na dworze, ale Boże mój, w jakim stanie była z powodu deszczu i niepogody! Woda spływała z jej włosów i ściekała strumieniami aż do pantofelków. Oświadczyła ona, że jest prawdziwą księżniczką.

— No, no, to się wkrótce jeszcze pokaże, pomyślała stara królowa, nie rzekła jednak nic, tylko poszła do sypialni, wyjęła wszystką pościel i nałożyła grochu na spód posłania. Następnie wzięła dwadzieścia materacy, ułożyła je na grochu, a na materacach jeszcze dwadzieścia miękkich pierzyn.

Na takim posłaniu miała księżniczka noc przepędzić. Nazajutrz zrana, na zapytanie, jak się jej spało, odpowiedziała: „O strasznie źle, przez całą noc prawie oczu zmrużyć nie mogłam i Bóg raczy wiedzieć, co tam było w moim łóżku. Leżałam na czemś tak twardem, że całe ciało mam ciemnymi sińcami poznaczone. Jestto rzeczywiście coś okropnego!”

Teraz dopiero przekonano się, że była prawdziwą księżniczką, gdyż przez dwadzieścia materaców i tyleż pierzyn groch poczuła. Tak delikatną i wrażliwą mogła być tylko prawdziwa księżniczka!

A więc pojął ją książę za żonę, gdyż teraz nie mógł już wątpić o prawdziwości jej słów, a groch posłano na wystawę, gdzie jeszcze do dziś dnia można go oglądać, naturalnie jeśli go nikt ztamtąd nie zabrał.

Taka to była prawdziwa historia.

K O N I E C.

---

## SPIS RZECZY.

- I. Kalosze szczęścia.
- II. Anioł.
- III. Suknie cesarskie.
- IV. Syrena.
- V. Cień.
- VI. Pastuch.
- VII. Niegrzeczny chłopiec.
- VIII. Świnia śpiżowa.
- IX. Księżniczka na grochu.

[The end of *Bajki i Opowiadania* by Hans Christian Andersen]